

# czerwony karzet

1(17)2014



ISSN 1425-5952



9 771425 595204

## PROZA

Andrzej Prószyński	
<i>Gotycki kontra Barok</i>	10
Jean-François	
<i>Srogi pogromca wampirów</i>	16
Alicja Mochocka	
<i>Nie kracz, Andrzej!</i>	32

## PUBLICYSTYKA

Jan Plata-Przechlewski	
<i>Na marginesie dwóch trylogii</i>	3
Karolina Kaczkowska	
<i>Jerozolima wyzwolona czyli niedaleko pada fantasy od eposu rycerskiego</i>	12
<i>Papier to papier, zostaje...</i>	
wywiad z Tomaszem Kołodziejczakiem	21
Grzegorz Szczepaniak	
<i>Barok, fantasy i stracone nadzieje</i>	28
Janusz Piszczek	
<i>Namiar nr 1</i>	36
Kościec Papiginiś	
<i>Smokologia</i>	38

## KOMIKS

Tomasz Mering	
<i>Gdańsk 1632 i 1645</i>	11
<i>Ślub nad Białą</i>	24
Jan Plata-Przechlewski	
<i>Wyimaginowana wampiuryja</i>	
<i>jednokadrowa</i>	35
Agata Plank, Grzegorz Szczepaniak	
<i>Dragonslayer</i>	41

## OD REDAKTORA

„Czerwony Karzeł” powstał w 1991 roku z inicjatywy Krzysztofa Papierkowskiego, naszego nieodżałowanego przyjaciela. W 1999 roku, na Euroconie w Dortmundzie, fanzin ten uznano za najlepszy w Europie. Ukazały się także cztery komiksowe numery specjalne.

Po piętnastoletniej przerwie oddajemy do Waszych rąk najnowszy numer „Czerwonego Karła”, nie przejmując się pokutującym w fandomie stwierdzeniem, jakoby w naszym kraju więcej osób pisało, niż czytało.

Temat fanzinu – barok w fantastyce – koresponduje z tematem najbliższego Nordconu, tym razem w klimatach sarmackich. W najnowszej odsłonie „Czerwonego Karła” znajdziecie zarówno teksty prozatorskie, jak i publicystyczne, dotyczące szeroko pojętej fantastyki. Nie zabraknie także interesujących ilustracji i komiksów.

Czytajcie – i do zobaczenia na Nordconie!



Archiwum CK  
na stronie GKF

### Czerwony Karzeł

Magazyn Literacki  
Gdańskiego Klubu  
Fantastyki  
Nr 1 (17) 2014

ISSN 1425-5952

Ukazuje się od 1991 roku

### Adres korespondencyjny:

80-385 Gdańsk  
ul. Opolska 2

### Redakcja:

Karolina Kaczkowska (RN)  
Agata Plank  
Jan Plata-Przechlewski  
Grzegorz Szczepaniak

### E-mail:

delvanakk@gmail.com

### Okładka:

Agata Plank

### Druk:

Print Group Sp. z o.o.  
<http://printgroup.pl>



JAN PLATA-PRZECHLEWSKI

## NA MARGINESIE DWÓCH TRYLOGII

*Gdy Redaktorzy „Czerwonego Karła” zaproponowali mi napisanie czegoś o baroku – najpierw poczułem w głowie wielką pustkę, potem zaś wyłonił się z tego totalny chaos. Nie zamierzam tu wrzucać szkolnych informacji o tym stylu i tej epoce (że przeładowanie, że kontrreformacja, etc.), gdyż to każdy z Czytelników ogólnie wie albo może sobie doczytać. Podzielię się garścią całkowicie subiektywnych refleksji.*

Barok nie jest akurat moim ulubionym stylem – chociaż potrafię docenić ciekawą budowlę sakralną lub świecką czy efektowny detal i choć od dzieciństwa mieszkam w mieście ufundowanym właśnie w tym okresie, gdzie najstarszymi zabytkami są przyklasztorny kościół i kalwaryjskie kapliczki. Pamiętam zresztą z czasów wczesnej podstawówki moje pierwsze w miarę świadome zetknięcie z barokiem, gdy ten styl mnie po prostu bezgranicznie zachwycił! Był to jakiś wyjazd z rodzicami do Gdańska i wejście do (gotyckiego architektonicznie, ale z barokowym wystrojem) dominikańskiego kościoła Św. Mikołaja. Stałem po prostu w niemych zachwycie, gdyż wtedy mnogość i szczegółowość detali była dla mnie synonimem nie tylko piękna, ale wręcz najwyższej sztuki (do takich „dziecięcych” odczuć odwoływali się zapewne ideolodzy tamtej epoki). Zresztą zabytkowe gdańskie świątynie są pod tym względem charakterystyczne: te barokowe hełmy na gotyckich wieżach... Ale zostawmy już Pomorze: chciałbym wspomnieć tu o jeszcze dwóch barokowych kościołach; pierwszy z nich znajduje się na terenie Polski, drugi za granicą (paradoks historii: przez wieki było odwrotnie). Pierwszym jest ogromna bazylika pw. Wniebowzięcia NMP w Krzeszowie na Dolnym Śląsku. Imponująca budowla sakralna o rozmiarach, do jakich przyzwyczaił nas raczej gotyk. Prowadziłem akurat

szkolenie w nieodległych Kowarach i – w jakiejś przerwie między zajęciami – uczestnicy mnie tam zawieźli. Jadąc widzę piękną zaiste budowlę (m.in. okazałe hełmy na wieżach) otoczoną jakimiś krzaczkami. Zbliżywszy się ogarnąłem właściwe proporcje: to nie były małe krzaczki, ale okazałe drzewa (podobny szok skali wielkości przeżyłem już kiedyś w Alpach, gdy – wyglądając z okien Glaciar Expressu – owce na hali wziąłem w pierwszej chwili za świstaki). Coś imponującego, polecam gorąco! Drugi niezwykły kościół

Bazylika NMP w Krzeszowie





widziałem w Wilnie, na Antokolu nieopodal Starego Miasta. Kościół pw. Św. Piotra i Pawła to budowla utrzymana w bieli: barokowe bogactwo wnętrza uzyskano jedynie dzięki przebogatym sztukateriom. Coś pięknego, również polecam! Można by tu wymieniać jeszcze wiele innych budowli – ja jednak przechodzę do literatury.

Literatura ta bywała najróżniejsza, od skrajnie dewocyjnej (wszak to wspomniana już kontrreformacja) po radośnie nieobyczajną (choćby frywolne fraszki Jana Andrzeja Morsztyna – np. *Nagrobek kusiowi*). Lecz nie o prawdziwej literaturze baroku chcę tu wspomnieć, ale – z uwagi na przewodni wątek zbliżającego się Nordconu (Dzikie Pola!) – nawiążę do wyobrażenia tej epoki zawartego w powieściach przygodowych z pierwszej i drugiej połowy XIX wieku: polskiej Trylogii oraz prawie równoległej czasowo trylogii z Francji. Chodzi oczywiście o powieści Henryka Sienkiewicza i o powieści Aleksandra Dumasa (ojca). Poniżej zestawiam daty ich wydań (najpierw ukazywały się w gazetowych odcinkach) oraz opisywane w nich lata; trylogia o muszkietierach była tłumaczona na język polski praktycznie już rok po francuskiej premierze (zresztą język francuski odgrywał w ówczesnej Europie taką rolę, jaką dziś spełnia angielski). Z tego zestawienia widać wyraźnie, że – choć francuska trylogia została napisana nieco wcześniej od polskiej i nieco wcześniejsze lata opisuje – światy te właściwie zębiają się.

Mało tego: w wydanej w 1997 roku powieści Andrzeja Stojowskiego *Wręku Boga*, będącej swoistym dalszym ciągiem Trylogii, wdowa po pułkowniku Wołodyjowskim, natknąwszy się podczas tajnej misji do Wiednia na czterech muszkietierów (też wysłanych w tajnej misji związanej z jej misją), krzyżuje ostrza z d'Artagnanem i... wytrąca mu broń sposobem, jakiego ongiś nauczyła się od męża (a zatem pierwsza szpada Francji nie dorównywała pierwszej szabli Rzeczypospolitej). Pomysł pyszny; aczkolwiek, przyjrawszy się uważnie tabeli, można doszukać się – niczym w powieściach Juliusza Verne'a o kapitanie Nemo – pewnej niezgodności dat (kanwą powieści jest bowiem czas od ewakuacji obu wdów z Podola po Odsiecz Wiedeńską – czyli lata 1672–1683). Odnośnie sarmackich pojedynków z innymi nacjami: przypomina mi się tu historia przeczytana kilka lat temu, podobno autentyczna. Otóż polska szabla była jedną z najdoskonalszych (na świecie i w dziejach) broni białych. Wzięło się to z tego, iż odpierać musieliśmy najazdy i ze wschodu, i z zachodu. Tak więc broń ta stała się uniwersalna – nadająca się zarówno do walki z krzywą szablą Turka, jak też z prostym rapierem Szweda. Autor czytanego przeze mnie artykułu (niestety, już nie jestem w stanie podać źródła) porównał wręcz szlachecką szablę do samurajskiej katany. Podobno zresztą kiedyś omal nie doszło do tego typu konfrontacji. Też w czasach przedrozbiorowych polscy postowie przebywali z misją

<b>pisarz</b>	<b>utwór</b>	<b>data pierwodruku</b>	<b>czas akcji</b>
Aleksander Dumas	<i>Trzej muszkietierowie</i>	1844 r. (od 1844 r.)	1625–1627 r.
Aleksander Dumas	<i>Dwadzieścia lat później</i>	1845 r. (od 1845 r.)	1648–1649 r.
Aleksander Dumas	<i>Wicehrabia de Bragelonne</i>	1848–1850 r. (od 1848 r.)	1660 r. (epilog po kilku latach)
Henryk Sienkiewicz	<i>Ogniem i mieczem</i>	1884 r. (od 1883 r.)	1648–1651 r.
Henryk Sienkiewicz	<i>Potop</i>	1886 r. (od 1884 r.)	1655–1657 r.
Henryk Sienkiewicz	<i>Pan Wołodyjowski</i>	1889 r. (od 1887 r.)	1668–1673 r.



na jakimś dworze – i spotkali tam wystawników cesarza Japonii. Samurajowie ponoć aż zapatrzyli się w szable polskich szlachciców, coś tam między sobą zaczęli dyskutować, poprosili o pokazanie szabli, oglądali ją i wzięli w ręce cmokając z zachwytu. Mieli dziką ochotę wypróbować zmierzenie szabel Polaków z ich mieczami – niestety, jakichkolwiek pojedynków (nawet takich czysto treningowych) bezwzględnie zabraniał protokół dyplomatyczny panujący na tym dworze. Samuraje odjechali niepocieszeni!

Skoro już o francuskich pisarzy zahażyliśmy... Pozwolę tu sobie podzielić się przypuszczeniem, które nurtuje mnie od jakiegoś czasu – a które bynajmniej autorowi *Potopu* i *Krzyżaków* ujmę nie przynosi. Zastanawiam się mianowicie, czy w dwóch przypadkach Henryk Sienkiewicz nie zainspirował się *Nędznikami* Wiktora Hugo. Pierwszy przypadek – to finałowa i „ryczałtowa” rehabilitacja Andrzeja Kmicica. Scena w kościele, gdy odczytywany jest list królewski wymieniający po kolei wszystkie zaślugi „Babinicza” oraz odkłamujący ciągnące się za Kmicicem pomówienia. Że nie tylko Jana Kazimierza porwać nie zamierzał, ale wręcz zdracę Radziwiłła pojmać próbował; że Jasnej Góry bronił i burzącą kolumbrynę wysadził; że Wołmontowiczom z odsieczą przyszedł (tego wątku ci, którzy jedynie film widzieli, nie znają). Bardzo podobnie – mimo skrajnie różnych okoliczności – wygląda finałowa rehabilitacja Jeana Valjean: opryszek Thénardier uświadamia Mariuszowi, że Jean Valjean nie okradł bogatego przemysłowca i filantropa pana Madeleine, ponieważ to on sam był panem Madeleine; że na barykadzie nie zamordował Javerta, lecz puścił go wolno; że to Jean Valjean jest owym tajemniczym wybawcą, który przeniósł omdłego Mariusza przez kanały... Podobne odczucia

mam co do podobieństw postaci inspektora Javerta z *Nędznikami* i Zygfrйда de Löwe z *Krzyżaków*. Obaj są potworami. Javert mniejszym, gdyż trzyma się litery prawa (a w scenie aresztowania prawdziwych zbirów wręcz imponuje!). Zygfryd większym, gdyż łamie wszelkie (rycerskie oraz zakonne) zasady i ustalenia. Ale żaden z nich nie jest łajdakiem – gdyż obaj święcie wierzą w słuszność tego, co robią. Inspektor – zrozumiałwszy, iż istnieją wartości wyższe niż czysta praworządność – rzuca się do Sekwany (dlatego nie mogą darować „u współczesnej” wersji filmowej Claude'a Leloucha, że scenarzyści zrobili z Javerta skorumpowanego gliniarza, który strzela sobie w łeb ze strachu przed karą!). De Löwe – zwątpiwszy, czy takich właśnie działań potrzebowała chwala Zakonu – wiesza się (w często przypominanym filmie, mimo świetnej kreacji znakomitego Henryka Borowskiego, postać ta funkcjonuje jednak bliżej typowego „czarnego charakteru”...). Te literackie inspiracje – nie będące jednak żadnym plagiatem! – są wielce prawdopodobnie, jako że wszystkie pięć części *Nędzników* zostało wydanych ciurkiem w 1862 roku (także w polskim przekładzie), a społeczna epopeja Hugo była wtedy bestsellerem większym niż dziś jakkolwiek *Harry Potter* (*Potop* został ukończony w 1886 roku, *Krzyżacy* zaś ukazali się w roku 1900). Poza tym niewykluczone, iż Sienkiewicz, niewątpliwie znając trylogię Dumasa, pomyślał o stworzeniu polskiego odpowiednika (odpowiednika, nie naśladownictwa!). Wszak nasze dzieje nie są wcale mniej interesujące od losów Francji... Przypomnę tu przy okazji spostrzeżenie poczynione już dawno przez wielu badaczy: otóż Henryk Sienkiewicz w swych wielkich powieściach historycznych stosował praktycznie ten sam schemat osobistych relacji protagonistów. „On”

(Skrzetuski, Kmicic, pan Michał, Zbyszko z Bogdańca, Marek Winicjusz) i „ona” (Helena, Olerka, Baśka, Danusia, Ligia) oraz „ten trzeci” pomiędzy nimi (Bohun, Radziwiłł, Azja, Zygryd, Neron). Jednak za każdym razem tło i perypetie oraz postacie i motywacje są na tyle zróżnicowane, że pochłonięty wartką akcją przeciętny czytelnik w ogóle tego nie zauważy!

Jednak Trylogia Sienkiewiczowska jest nieporównanie mniej znana w świecie od trylogii Dumasowskiej. Powodów jest zapewne kilka – i bynajmniej nie jest to gorsza jakość literacka. Owszem, Gombrowicz niegdyś określił Sienkiewicza mianem „pierwszorzędnego pisarza drugorzędnego”. Ja zaś tego opisanie sytuacji wcale nie uważam za obelgę. Literatura nie składa się bowiem – i wręcz wcale się składać nie powinna – wyłącznie z Proustów, Dostojewskich, Tołstojów, Joyce’ów, Mannów. To są giganci. Przetarli oni najrozmaitsze literackie szlaki, głęboko wnिकnęli w ludzką duszę, warto ich znać i do nich się odnosić. Ale, jak w każdej dziedzinie sztuki, możemy odkryć jeszcze wiele innych warstw (bo literatura też ma warstwy, jak cebula i ogr!). Dziś przeżywamy wyraźny renesans właśnie owej „literatury (w dobrym znaczeniu tego słowa) drugorzędnej”: popularność Conan Doyle’a (rozmaite wariacje nt. Sherlocka Holmesa) czy klasyków science fiction (rewelacyjny cykl dokumentalny w jednym z telewizyjnych kanałów tematycznych) są pierwszymi z brzegu przykładami. A historycy literatury odkrywają w tych – ku rozrywce napisanych – książkach zarówno ciekawą problematykę społeczną, jak też niezgorszy warsztat literacki. Przecież i nasza ukochana fantastyka to nie tylko *Wojna światów*, *Władca pierścieni* czy *Solaris*; choć te tytuły akurat są arcydziełami. W przypadku Trylogii (jak i całej masy polskiej literatury

wszelkiej maści) szczególną barierą był język. Peryferyjność kraju i kiepski przekład – to kamienie młyńskie już na starcie. Czytałem gdzieś, że w Stanach Zjednoczonych (a tym samym może i w innych krajach anglojęzycznych) przez dziesięciolecia funkcjonował jakiś partacki pseudoprzekład, gdzie np. zwrot „czółem, mości panowie” tłumaczony był jako „szlachcice na powitanie stuknęli się czółami” (sic!), nagminne było też mylenie husarii z huzarami. Dopiero kilkanaście lat temu pojawiło się w USA tłumaczenie z prawdziwego zdarzenia (ciekawostka: ostatni tom Trylogii otrzymał tytuł *Ogień w stepie*) – i nasza sarmacka saga zdobyła popularność oraz uznanie wśród licznych wielbicieli powieści historycznych; szkoda, że tak późno. Za studenckich czasów czytałem, na potrzeby zajęć, słynną recenzję Bolesława Prusa – poświęconą *Ogniem i mieczem*, a napisaną przed ukazaniem się *Potopu*. Zwykle mówi się, że Prus pierwszą część Trylogii bezlitośnie „zjechał”. To nie tak. Prus dokonał jej krytycznej analizy w pełnym znaczeniu tego słowa. Wypunktował zarówno plusy, jak też minusy powieści; wypreparował elementy fantastyczne i elementy historyczne; zaś w usta Chmielnickiego wpisał takie kontrargumenty, że Skrzetuskiemu w piętę by poszło. Mała dygresja: tu przypomina mi się jakiś współczesny artykuł o słabościach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Przede wszystkim – była Rzeczpospolitą nieco większej liczby narodów (a nie odzwierciedliło się to w jej oficjalnej strukturze) oraz nie stworzyła narodowego pojęcia ogólnego będącego odpowiednikiem słowa „Brytyjczyk” (Szkot czy Walijszczyk będący poddanym wspólnej korony nie musiał zwać się Anglikiem; dla naszego Litwina czy Rusina innego wspólnego określenia niż Polak nie było). Może coś w tym jest – często nie



doceniamy lingwistyki... Jednak należy też pamiętać o wyniszczających wówczas nasze państwo bezustannych wojnach ze wszystkich prawie stron idących. Na pytanie, w jakiej wojnie Polska straciła najwięcej swych obywateli – prawie każdy zapytany odpowie, że w drugiej światowej. Oczywiście w liczbach bezwzględnych będzie miał rację. Ale nie w proporcjach! Proporcjonalnie (choć rzecz jasna przy o wiele mniej licznej populacji) najbardziej wyniszczającą wojną na ziemiach polskich był... „potop” szwedzki! Najeźdźca pozostawił po sobie całe tereny, gdzie wyrżnięta została prawie cała ludność; a poprzez zniszczenia (patrz Krzyżtopór) i rabunki (patrz niedawne odkrycie w wyschniętej Wiśle) cofnął cywilizacyjnie Polskę o jakieś sto lat (pamiętajmy jednak, iż postęp techniczny odbywał się wtedy – przed rewolucją przemysłową – znacznie wolniej).

Różne były też losy filmowych adaptacji Trylogii. Jakies pierwsze próby miały miejsce przed wojną. Odnieśmy się jednak do

czasów współczesniejszych. Dość kuriozalna włoska wersja *Ogniem i mieczem* – ze znanym z ekranizacji *Winnnetou* Pierre'm Brice'm i Bohunem jako absolutnie czarnym charakterem oraz Zagłobą ginącym w akcji niczym westernowy staruszek. Nasze powojenne – dokonane przez Jerzego Hoffmana – adaptacje Trylogii musiały, siłą rzeczy (cenzura, finanse), iść pod prąd chronologii. Najpierw powstał nader udany *Pan Wołodyjowski*. Mimo skromnych środków (i chwilami lekko teatralnej manieri) otrzymaliśmy panoramiczne i barwne widowisko, świetnie opowiedziane i zasilone wdziękiem młodych aktorów. Równie wdzięczny, acz bardziej kameralny, był jednocześnie kręcony (przez Pawła Komorowskiego) czarno-biały serial telewizyjny *Przygody pana Michała*. Co ciekawe: za podstawę tych pełnych uroku obrazów posłużyła najstarsza (w lekturze chwilami wręcz nudna) część Trylogii. *Potop* był już rodzimą superprodukcją. Przy czym całkowicie odszedł od teatralności, dodał



Zamek Krzyżtopór w Ujeździe

też charakterystyczną dla kina lat siedemdziesiątych zgrzebność; a za radą jakiegoś historyka – bohaterowie nie paradują przez całą czas w kontuszach (jak my nie nosimy bez przerwy garniturów). Jest filmem dwuczęściowym – choć osobiście żałuję, że nie było możliwości zrealizować trzech części. Pierwsza jest bowiem w pełni OK (poznajemy bohaterów, ich motywacje, utożsamiamy się z nimi; notabene Francuzi podobnie rozłożyli akcenty między dwiema częściami klasycznej adaptacji *Nędzników* z roku 1958). Natomiast akcja drugiej części *Potopu* pędzi chwilami zbyt szybko, co czasami wywoływało chichoty w kinie (Kmicic ranny po raz kolejny w krótkim czasie). Brak mi też sceny ratowania wachmistrza Soroki (Kmicic kłękający przed księciem Bogusławem – już widzę te nabrzmiałe żyły na skroniach Daniela Olbrychskiego!). Z założenia nie mogła się też pojawić scena Ślubów Lwowskich (cenzura przewencyjna). Tu znów dygresja dotycząca rozmaitego odbioru za granicą. W UK *Potop* wyświetlany był w wersji reżyserkiej – i w jakimś prestiżowym rankingu uznano go za najlepszy zagraniczny film roku na brytyjskich ekranach (podkreślano m.in. „niezwykłą romantyczność akcji”). We Francji zaś – całość przemontowano do dwóch godzin z kawałkiem, nazwano *Silniejszy niż burza*; a potem stwierdzono, że... rodzime filmy płaszcza i szpady są znacznie lepsze. W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, za naszych studenckich czasów, wyobrażaliśmy sobie z Andrzejem Habiszińskim hipotetyczną obsadę *Ogniem i mieczem* (np. młody wtedy Marek Kondrat jako Wołodyjowski). Jednak rzeczywista realizacja tego filmu (a przy okazji serialu) była możliwa dopiero w III RP. Jak to wyszło – każdy widzi i każdy może mieć swoje zdanie. Ograniczę się do trzech uwag. Teledyskowe tempo narracji

nie pozwala nam na takie utożsamienie się z bohaterami, jak miało to miejsce w przypadku *Potopu* (druga rzecz, że uporządkowanemu Skrzetuskiemu trudno jest konkurować z nieobliczalnym Kmicicem). Próba pogodzenia powieści i historii – co zaowocowało polityczną poprawnością – odebrała Bohunowi prawie całą jego demoniczność (przed podobnym dylematem stanęli wcześniej autorzy pierwszej ekranizacji *W pustyni i w puszczy*, ale wybronił się zdecydowanie lepiej). Nad kilkoma decyzjami obsadowymi nie będę się publicznie pastwił; zauważę inną, pozafilmową, ciekawostkę. Gdy na ekrany wchodziły *Pan Wołodyjowski* (1969 r.) i *Potop* (1974 r.) – młodzi widzowie nigdy by się nie utożsamili z bohaterami o podgolonych głowach; gdy powstawało *Ogniem i mieczem* (1999 r.) – sarmackie fryzury wręcz fascynowały i były absolutnie „sexy”... Jawnie do Sienkiewiczowskich klimatów nawiązywało też parę wcześniejszych seriali telewizyjnych – z *Czarnymi chmurami* Andrzeja Konica na czele. Notabene w powieści Stojowskiego pojawia się wzmianka o uprowadzeniu przez ludzi księcia elektora autentycznego pierwowzoru pułkownika Krzysztofa Dowgirda (ciekawostka: naprawdę nazywał się Krystian Kalkstein-Stoliński – scenarzyści zmienili mu nazwisko, gdyż jego potomek był jednym z agentów gestapo, którzy zadenuncjowali generała Grota-Roweckiego; i niestety historyczny pułkownik Kalkstein został skutecznie stracony w Kłajpedzie). By zaś odgryźć się na Francuzach za *Silniejszego od burzy* – przypomnę, iż ekranizacji *Muszkietierów* były dziesiątki, ale niedoścignioną pozostaje szalona wersja zrealizowana przez Richarda Lestera (Brytyjczyka od wcześniejszych filmów z Beatlesami); wprawdzie później też powstało parę efektownych wariacji na temat Dumasa – lecz były to tylko wariacje (może





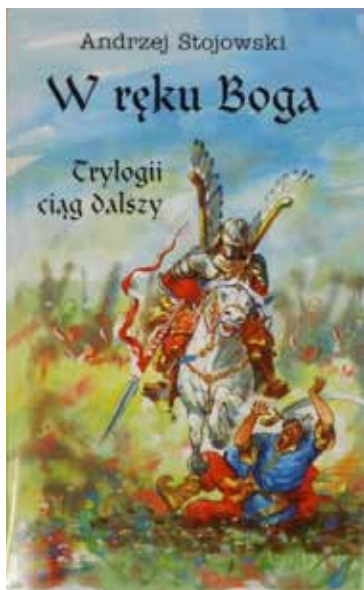
chwilami niemal równie precyzyjne, ale mało wartościowe artystycznie i nie mające cienia szacunku ani dla literackiego pierwowzoru, ani dla historycznego tła). Żeby było jasne: nie mam nic przeciwko kolejnym interpretacjom filmowym spopularyzowanych książek, wątków i wydarzeń! Inaczej również filmy Lestera by nie powstały – bo może uznano by, że film z Bourvilem (1953 r.) jest już „kanoniczny”, zaś ostatnią filmową wersją opowieści o drużynie z Sherwood byłyby *Przygody Robin Hooda* z Errolem Flynnem (1938 r.) – jako nakręcona w kolorze superprodukcja. Inna rzecz, że czasami cięszys ubóstwo polskiej kinematografii; obawiać się bowiem można, iż żadna nakręcona w III RP ekranizacja prozy Sienkiewicza nie dorównywałaby, niestety, tym z PRL-u (przedsmak daje już nowe *W pustyni i w puszczy*).

Na koniec chcę krótko nawiązać do jednego z elementów Lesterowskich *Muszkietierów*, czyli do wszechobecnego brudu (pełne rynsztoki itp.) – jako że ówczesna Europa na pewno nie była z higieną za pan brat (nastąpił wręcz gigantyczny regres nie tylko w stosunku do antyku, ale nawet do średniowiecza). Jakiś polski magnat pojechał wtedy z wizytą do Wersalu lub Luwru. I tam poczuł, że wokół całego królewskiego pałacu po prostu cuchnie moczem. Wszyscy bowiem siusiali bez zenady na pałacowe ściany (takiego hardcore nie pokazał nawet Lester!). I cóż uczynił nasz snob? Wróciwszy do siebie – nakazał wszystkim

domownikom robić to samo wokół jego pałacu, by było... jak we Francji. Dzisiejsza sterylność przynosi wprawdzie więcej szkody niż pożytku (niszcząc bakterie pożyteczne i osłabiając naturalną odporność organizmu), ale w ówczesnym brudzie powszechnym – nikt z nas na pewno by nie chciał przebywać (jedynie nasze szkodliwe bakterie miałyby używanie!). Odnośnie rozmaitych wad i śmieszności tamtej epoki – zachęcam również do wysłuchania kilku utworów Jacka Kaczmarskiego: *Pan Podbiپیęta*, *Pan Kmicic* i *Pan Wołodyjowski* (gdzie nieźle dostaje się większości bohaterów Trylogii) oraz jego programu *Sarmatia* (gdzie Kaczmar pochylił się nad barokową Rzeczpospolitą tak wnikliwie, jak nad renesansową Europą we wcześniejszej *Wojnie potu z karnawałem*).

Tyle tych – chaotycznych nieco – okołobarokowych rozważań. Może czytelników Komudy i Sapkowskiego zachęca one do sięgnięcia po „stary” Trylogię. Nie zamiast, ale obok; nie ku pokrzepieniu zniewolonych serc

czy kształtowaniu wojennego patriotyzmu – ale jako do pysznych i krwistych (ten drugi przymiotnik w obu znaczeniach zresztą...) opowieści z barokowych czasów sarmackich.



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

## GOTYCKI KONTRA BAROK

W środę rano Gotycki wstał z łóżka świeży i wypoczęty. Przeciągnął się z lubością, aż mu suche kości zatrzęszczały rozkosznie, ochlapał się tu i ówdzie, po czym przy mierzył przed lustrem świeżą koszulkę. Co tu ukrywać, zwisała na nim jak na wieszaku. Gotycki zdecydowanie nie był trendy.

Na klatce schodowej sąsiadka z przeciwka, pani Rubens (modne ostatnio nazwisko), splunęła ostentacyjnie na jego widok. Gotycki zignorował ją – miał przed sobą poważniejsze problemy.

W Pałacu Barokowym zerkali na niego jak zwykle podejrzliwie i spode łba. Jakiś urzędnik zaczął nawet wertować gorączkowo teczkę ze zdjęciami, którą taszczył pod pachą. Gotycki pokazał mu język, po czym prędko wskoczył do najbliższej windy, pełnej złocen i wygibasów. Jego kurator już czekał.

– No i kogo my tu mamy? – rzucił ironicznie grubas zza biurka rzeźbionego w rozłożyste boginie i tłustawych herosów. – Kolejny głodomór z tasiemcem. Państwo nie zapewnia wam minimum socjalnego, czy jak?

– Co to, to nie, nie mogę narzekać – wyjąkał pospiesznie Gotycki. – To tylko hormony, Wasza Miłość. Szwankują mi od urodzenia...

– Dosyć tych wymówek, Gotycki. Albo zaczniecie od dzisiaj nabierać ciała, albo inaczej sobie pogadamy. Na reedukację nigdy nie jest za późno. Ani też za wcześniej, jeśli już o to chodzi. Tak więc lepiej zastanówcie się poważnie nad sobą i swoim życiem. No!

*Znowu się udało* – pomyślał Gotycki. – *W gruncie rzeczy równy chłop z tego kuratora.* Cmoknął do brodzieja w mankiet i wycofał się wśród przepisowych ukłonów, zamiatając peruką podłogę. – *Dobra nasza!*

Jako element aspołeczny, Gotycki był na bezterminowym urlopie, resztę dnia miał więc dla siebie. Czując przyptyw energii, zbiegł po nieużywanych schodach, przeskakując po dwa stopnie. Czas na zasłużone śniadanie!

*Rozpustna Filomena* była pustawa o tej porze. Kelner z niechęcią porzucił suftet i przyturlał się niespiesznie do stolika. Gotycki zamówił maxi jajecznicę na boczku i hamburgera z frytkami, które spałaszował z entuzjazmem. Ponieważ nadal czuł wilczy apetyt, poprawił jeszcze solidną porcją sernika w czekoladzie. Kelner, z mieszaniną uznania i rezerwy w patrzytkach, dopisał mu do konta aż piętnaście punktów. Będzie czym poświecić w oczy kuratorowi, a i z lokalu da się wyjść bez uruchamiania alarmu. Całkiem niezły początek dnia.

Rażnym krokiem doszedł do przystanku, gdzie czekał barokowóz kursujący za miasto. Gotycki znał miejsce na końcu trasy, gdzie bez przeszkód można sobie pobiegać, nie narażając się na wyzwiska i mandat za przekroczenie prędkości. Tym razem jednak wszędzie pełno było grubasów, zaścielających każdy wolny skrawek ziemi i obżerających

się przytarganymi z domu zapasami. *Cóż, od paru dni trwa sezon urlopowy* – skojarzył Gotycki. Przebył spacerkiem kilka kilometrów, robiąc demonstracyjne przystanki z zadyszką, po czym puścił się biegiem, za widzów mając jedynie kilka kaczek-krzyżówek.

Kiedy wracał do miasta, było już późne popołudnie. Po drodze odwiedził znajomą knajpkę w plenerze, gdzie zafundował sobie solidny obiad z sześciu dań za trzydzieści punktów i obejzał rustykalną inscenizację z udziałem brzuchatych satyrów i krągłych pastereczek. W planie na dziś miał jeszcze tylko jedną pozycję: spotkanie Klubu.

Klub był bardzo poważną sprawą w życiu Gotyckiego, głównie ze względu na Szczapę, w której skrycie się podkochał. Skrycie, ponieważ Szczapa była pełna kompleksów – po prostu nie potrafiła uwierzyć, że ona, taka chuda, może się komuś podobać... Ba, sam Gotycki łapał się nieraz na myśli, że jego skłonności są wysoce nienaturalne. Podobną postawę wykazywali zresztą obaj pozostali członkowie Klubu: Kościej i Wątyły, pełni sceptycyzmu i autoironii. Co więc tę czwórkę przyciągało do siebie? Pewnie smak zakazanego owocu, bo ich spotkania były w najwyższym stopniu nielegalne.

Dziś przekonali się o tym bardzo boleśnie. Ledwie zdążyli się przywitać, gdy wtoczyło się kilku funkcjonariuszy i wytoczyło im zarzuty konspiracji i próby obalenia systemu barokowego. Na nic się zdały próby tudzież tłumaczenia – pojmani zostali zawleczeni niezwłocznie na Skałę Tarpejską, skąd dowódca własnoręcznie i bezlitośnie strącił ich w przepaść, wykrzykując ku przestrodze sakramentalną Formułę Wielu Znaczeń:

— KOŚCI – ZOSTAŁY – RZUCONE !!!

A echo tej maksymy niesło się jeszcze długo po wertepach, zaświadczaćc wszem i wobec, że życie jest krótkie, ale za to Barok wiecznotrwały.

TOMASZ MERING

## GDAŃSK 1632 i 1645



KAROLINA KACZKOWSKA

## **JEROZOLIMA WYZWOLONA CZYLI NIEDALEKO PADA FANTASY OD EPOSU RYCERSKIEGO**

Przyjęło się nazywać epokę baroku pomostem między renesansem a oświeceniem, jednocześnie traktując ją trochę jak drugie średniowiecze. Przeciętny maturzysta powinien kojarzyć ten okres choćby z nazwiskiem Morsztyna i jego sławnym sonetem *Do trupa* czy twórczością Sępa-Szarzyńskiego. W szkole traktuje się barok nieco po macoszemu, wszak inne epoki mają więcej do zaoferowania pod względem wychowawczym (niestety w polskiej edukacji wciąż dominuje instrumentalny styl odbioru literatury). Sztukę barokową – a więc i literaturę – utożsamia się przede wszystkim z wybujałą formą, tu liczy się kreatywność i oddziaływanie na odbiorcę. W Polsce epokę baroku zapoczątkowało w 1618 roku bliskie parafrazie tłumaczenie *Jerozolimy wyzwolonej* autorstwa włoskiego poety Torquato Tasso.

Utwór ten powstał w 1581 roku. Jest to epos rycerski składający się z dwudziestu pieśni, przedstawiający wydarzenia historyczne nawet z punktu widzenia jego autora – dzieje wyprawy krzyżowej z 1099 roku. Tasso nadał swemu dziełu atrakcyjną formę, zapełniając karty *Jerozolimy wyzwolonej* magicznymi stworzeniami i niesamowitymi wydarzeniami, których nie powstydziliby się współczesna fantasy, nie zapominając jednak o źródłach historycznych. Tematyka eposu trafiła na podatny grunt, gdyż Europa przełomu XVI i XVII wieku doświadczała problemów ze strony Turków, dążących wówczas do dominacji na Morzu Śródziemnym. Wyszukana forma natomiast miała nadać

piękną dziełu wzniosłemu i opiewającemu szlachetne czyny bohaterów. Tasso bardzo daleko posunął się w swych twórczych poszukiwaniach, wiedziony pragnieniem stworzenia dzieła nie tylko pięknego, ale i zgodnego z wymogami religii. Poeta dwa razy stawał przed Świętą Inkwizycją, by upewnić się, że nie dopuścił się herezji. Strach przed tym wykroczeniem doprowadził go do choroby i na siedem lat przykuł do szpitalnego łóżka. W 1580 roku utwór został skradziony, czternaście pieśni ukazało się drukiem w Wenecji. Rok później *Jerozolima wyzwolona* została wreszcie wydana z inicjatywy autora. W 1584 roku pojawiło się kolejne wydanie, poprawione przez Tasso, będące podstawą kolejnych wznowień.

Siłą rzeczy *Jerozolimę wyzwoloną* porównywano z wydanym w 1516 roku eposem Ariosta, *Orlandem Szalonym*, również obfitującym w motywy walki z muzułmanami, wątki miłosne i przygodowe. Zwolennikiem tego drugiego był m.in. Galileusz. Polemika doprowadziła Tasso do wprowadzenia kolejnych zmian w utworze, co zdecydowanie zaszkodziło dziełu. Zanim jednak do tego doszło, powstały liczne przekłady *Jerozolimy wyzwolonej* w jej pierwotnym kształcie, w tym na język polski, co zawdzięczamy Piotrowi Kochanowskiemu, bratankowi sławnego Jana.

Piotr Kochanowski urodził się w 1566 roku w Sycynie. Studiował we Włoszech, przebywając tam około dwunastu lat. Około 1600 roku wrócił do Polski, gdzie wkrótce został sekretarzem królewskim. Po dziesięciu



latach od powrotu do kraju znów wyjechał do Włoch, tym razem z powodów zdrowotnych. W roku 1616 osiadł w Krakowie, gdzie oddał się pracy literackiej, w tym tłumaczeniom. Zmarł w 1620 roku w Krakowie – dwa lata po przetłumaczeniu dzieła Tasso. Piotr Kochanowski przełożył na polski także dzieło konkurujące z *Jerozolimą wyzwoloną* – *Orlanda szalonego Ariosta*.

Epos Tassa trafił na podatny grunt w Polsce. Temat wojny z „poganami” (w utworze jest to synonim muzułmanina) w XVII wieku był wciąż aktualny, a poruszane wątki rycerskich zmagañ z wrogiem chrześcijaństwa rzeczywiście potrafiły zachęcić sarmatów do działania, przez co *Jerozolima wyzwolona* zyskała rangę niemal narodowej epepei. Dokonując przekładu, Piotr Kochanowski spolszczył dzieło nie tylko w warstwie językowej, lekka modyfikacja elementów świata przedstawionego pozwoliła czytelnikom ujrzeć w bohaterach Tasso rodzime rycerstwo.

Dziś *Jerozolima wyzwolona* zdecydowanie straciła na znaczeniu w naszym kraju. Nie ma jej w programach szkolnych, a na filologii polskiej czyta się zaledwie fragmenty. Archaiczne poglądy na świat odbite w treści dzieła, niezgodne z obecnym stanem nauki, mogą wzbudzać u czytelnika, zwłaszcza o poglądach niekonserwatywnych, uśmiešek politowania. Niewykluczone, że utwór mógłby wrócić do łask w dzisiejszych czasach, kiedy nastroje antymuzułmańskie rosną w siłę, niestety nie bez przyczyny. Na przeszkodzie współczesnemu czytelnikowi mogłaby stanąć wyszukana forma, urzekająca w oczach filologa, nużąca i przeładowana ozdobnikami dla mniej zaprawionego w literackich zmaganiach z tekstem.

Epos rycerski był gatunkiem poezji dworskiej, a więc wysokiej, przeznaczonej dla wykształconych warstw społeczeństwa.

Z założenia opiewał wyszukany językiem czyny bohaterów, historycznych lub legendarnych, na tle przełomowych wydarzeń historycznych. Tasso, pisząc *Jerozolimę wyzwoloną*, miał na uwadze, że poeta powinien nie tylko oddać prawdę historyczną, ale zrobić to pięknie i ciekawie – tak, jak pozwala mu na to wyobraźnia. Stąd, obok aniołów, kluczowych istot związanych z religią chrześcijańską, na kartach eposu zagościły rozmaite stworzenia mitologiczne, m.in. smok. W pieśni piętnastej wielka, rogata bestia zagroziła drogę rycerzom spieszącym na pomoc swemu porwanemu towarzyszowi. Smoka nie można było pokonać zwykłym mieczem – co innego złota różga. W utworze nie zabrakło bowiem miejsca także dla magicznych przedmiotów, jakże popularnych w konwencji fantasy.

Nie sposób nie zorientować się, że narrator *Jerozolimy wyzwolonej* jest niezwykle stronniczy. Opis krzyżowców udających się do ziemi świętej z polecenia anioła obfituje w jasne, świetliste kolory. Rycerze zostali wyposażeni we wszystkie stereotypowo męskie cechy, są zatem odważni, zaradni i nie boją się ani walki, ani śmierci – wszyscy są wybrańcami Boga. Przewodzi im Gofred, człowiek wszelkich cnót, niepozabawiony jednak ludzkich dylematów, z których jednak zawsze wychodzi zwycięsko. Przyjęło się uważać, że bohaterem zbiorowym eposu jest cała armia chrześcijańska, jednak losy kilku bohaterów – w tym Gofreda, młodego, zapalczego Rynalda czy kochliwego Tankreda – wysuwają się niekiedy na plan pierwszy.

Muzułmanie, zwani poganami i sługami szatana, to istoty szpetne i tchórzliwe, dopuszczające się rozmaitych podłości, istniejące chyba jedynie po to, by na wszelkie możliwe sposoby zatruwać życie chrześcijan. Szczególnie ciekawy wydaje się obraz piekła.

Jego król, Pluton, posiadający cechy zarówno ludzkie, jak i zwierzęce, wzywa wszelkie „mieszkańce podziemne”, by wspomogły muzułmańskiego władcę w walce przeciwko krzyżowcom. Na wezwanie diabła przybývają rozmaite stworzenia rodem z mitologii greckiej, m.in. harpie, centaury, hydry, gorgony, cyklopy itp. Geografia piekła Tasso również przypomina tę z wierzeń starożytnych Greków, np. płynie tam rzeka Kocyt.

Innym, nie mniej groźnym, przeciwnikiem chrześcijan jest nekromanta Izmen. Takie określenie oczywiście nie pojawia się w treści utworu, jednak doświadczenie czytelnika fantasy pozwala nazwać jego profesję dokładniej niż tylko czarownik. Izmen to bluźnierca, były chrześcijanin, pomocnik muzułmańskiego króla.

Kolejnym czarownikiem jest Hidraot panujący w Damaszku. Aby rozbić oddziały Gofreda, wysyła do nich piękną kobietę – wszak nie od dziś wiadomo, że gdzie diabeł nie może, tam babę pośle – Armidę. Zadaniem czarownicy jest rozkochanie w sobie jak największej liczny męźnych rycerzy i wyprowadzenie ich z obozu krzyżowców, tak by nie mogli wspomagać reszty w walce. Przedsięwzięcie udaje się, jednak Armida w toku działań zakochuje się w jednym z rycerzy, Rynaldzie. Uwiedziony przez nią młodzieniec zapomina o obowiązkach. Dopiero w wyniku interwencji innych krzyżowców odzyskuje władzę nad zmysłami i porzuca kobietę, która poprzysięga zemstę, w przyszłości stając na polu walki przeciwko ukochanemu. Podczas finalnego starcia Rynald daruje życie Armidzie. Czarownica przyjmuje chrzest.

Co ciekawe, po stronie muzułmańskiej mamy także wojowniczkę, Kloryndę,

zrodzoną z matki chrześcijanki. W kobiecie zakochuje się wyżej wspomniany Tankred. Parze nie będzie jednak dane być razem. Tankred zabija Kloryndę na polu walki, nie wiedząc, że staje przeciwko ukochanej. Umierająca przyjmuje chrzest. Nieco później jako duch odwiedza zrozpaczonego Tankreda, by nie rozpaczął z powodu jej śmierci – wszak obdarzył Kloryndę życiem wiecznym.

Nie można odmówić Tasso erudycji i znajomości eposów antycznych czy mitologii greckiej. Sam Gofred swoją powagą i odpowiedzialnością przypominać może Eneasza (bohatera *Eneidy* Wergiliusza), kiedy odrzuca zaloty Armidy, tak jak Eneasza odrzucił miłość Dydony. Wątek skradzionej ikony przedstawiającej Matkę Boską przywodzi na myśl historię posągu Ateny z *Iliady* Homera. Rozstanie Armidy i Rynalda z kolei kojarzyć się może z pożegnaniem Jazona i Medei, kiedy ta ostatnia zabiła ich własne dzieci. Zarówno Medea, jak i Armida, opuszczają swoich męźczyzn, korzystając z powietrznych pojazdów. W pieśni ósmej pojawia się jako wysłanniczka piekieł Erynia Alekto, personifikacja niepowstrzymanego gniewu. Dwie ostatnie pieśni to przede wszystkim relacja wielkiej bitwy utrzymana w duchu *Iliady* Homera. Przykłady można by jeszcze długo mnożyć.

Jeśli spojrzeć na *Jerozolimę wyzwoloną* od strony teoretycznoliterackiej, z powodzeniem można by ją przepisać w konwencji fantasy prozą, rezygnując z rymowanej oktawy, ale zachowując wszystkie elementy świata przedstawionego oraz wątki. Niewykluczone, że znalazłby się wówczas ktoś, kto przeniósłby to plastyczne, epickie dzieło na srebrny ekran. Panie Jackson?



Rysunek Agata Plank  
Pomysł Andrzej Habasiński

JEAN-FRANÇOIS

## SROGI POGROMCA WAMPIRÓW

Okropna była jesień tego roku – jakby sprzyjała, nieubłagane nadciągającym ze wschodu, wojnie i grozie. Wiatr wył jak opętaniec albo pohaniec jakowuś, śłota smagała niczym nahajem, ogólnie było wstrętne (późny wnuk autora Trylogii niechybnie użyłby tym miejscu znacznie mocniejszego określenia!). Co bardziej zabobni a mniej wyedukowani dosłuchiwali się ponadto w tym wszystkim chichotu strzyg, wycia upirzy, nawoływania nocnic, zaś wśród chmur przelatujących dopatrywali się czarownic i latawców, wielu też mówiło o jakichś dziwnych stworach do nietoperzy podobnych, jeno znacznie większych; niektórzy ponadto zaprzysięgali się – ale tu raczej nadmiar miodu lub okowity podejrzawać należy! – iż paskudy one jedną tylko nogę posiadały, i to w but na zachodnią modłę strojny ozutą.

W karczmie o niezbyt zachęcającej nazwie „Wilkołak stepowy” mało było gości tego wieczora. Za jednym ze stołów, zastawionych mnóstwem (opróżnionych już) flaszek i dzbanów, drzemało czterech gości. Jeden z nich – to szlachcic był mocno starszawy, z wielkimi siwymi wąsiskami i wianuszkami rzadkich włosów okalających łysinę, na której dawna blizna sięgająca aż do kości widoczną była. Drugi, nader nikczemnego wzrostu, na opryska raczej wyglądał, choć spośród czarnych kudłów i zmierzwionej brody długaśny nochal jedynie wystawał. Tzeci – dryblasowaty, tłusty i dziwnie rozlazły – ogromnym czerwono-fioletowym nosem i wysuniętym podbródkiem charakteryzował się był, za to czoło miał niespotykane niskie, dziwną czapką jakowąś nakryte. Czwarty, siedzący nieco z boku i o belkę przytzymającą strop oparty, nieokreślonego był wieku: z dala zdałby się prawie młodzianem, z bliska zaś – dało się zauważyć gęstą sieć drobnych zmarszczek okalających na wpół zmrużone oczy, długie nosił też włosy i wąsy; lewą rękę skrywał w leżącej na stole sakwie podróżnej. Jego dwaj (opisani wcześniej) towarzysze, z początku przez starego szlachcica, jako persony niewiadomego stanu, z dystansem traktowani, później – za sprawą trunku wszelakiego – w znakomitej komitywie się odnaleźli; jednak teraz – na skutek tychże napitków – unisono chrapali głośno. Jedynie długowłosa zdawał się dyskretnie czuć, przed sobą mając jeno kufel ledwo napoczętego piwa. Ponadto za szynkwasem wycierał szklanki starozakonny karczmarz, zaś dziewczka służebna kręciła się po izbie. Na ścianie (tuż nad półką z okowitą, winem, miodem i piwem) wisiał zakurzony pergamin z nader miłą informacją, iż lokal honoruje także płaćności czynione służbowym giejtem przynależnym królewskim urzędnikom i posłom sejmowym.

Gwałtownie otworzyły się drzwi wejściowe. Mocnym krokiem wszedł do wnętrza wysoki mąż w stroju wojskowym (ale niechybnie w stanie szlacheckim urodzon), o srogim spojzeniu i z wąsami opadającymi poniżej obojczyków. Bystry obserwator zauważyłby interesujący szczegół: u pasa, obok szabli, zwiślał zwyczajny kozik, jakim wiejska dziatwa zwykła ostrzyż patyki.



— Wielce szanowny pan rycerz raczy nie zamykać drzwi! — zawołał doń karczmarz — Niby tylko czterech mam dziś gości, a alkoholem cuchnie tu za czterdziestu...

— Joyne, taki abstynent jak ty to obwoźny wóz z plugawym tureckim kebabem winien prowadzić, a nie porządny lokal z wyszynkiem! — odpowiedział przybyły, ale drzwi wejściowe pozostawił otwarte. Widać przez nie było zachodzące właśnie słońce.

Oficyjer usiadł w najciemniejszym kącie na drugim krańcu izby. Rychło podeszła doń biuściasta dziewczka. Przybysz szepnął jej coś do ucha. Ta poczerwieniała, podskoczyła i zawrzała:

— Sam se ciągnij, nawet i szybko, zbereźniku jeden! — po czym chciała wymierzyć mu siarczysty policzek. Przybysz chwycił jej dłoń w nadgarstku i, przytrzymawszy ją w istic żelaznym uścisku, jak gdyby nigdy nic zamówił cokolwiek z procentami oraz specjalność zakładu: stek wołowy mocno wysmażon na czosnku. Dziewka pomknęła w kierunku kuchni.

W tym momencie, akurat tuż po zachodzie słońca, w drzwiach karczmy stanął drugi przybysz. Na pierwszy rzut oka wyglądał niczym Pani Śmierć, gdyż w biały (notabene świetnie odbijający słoneczne światło) płaszcz z kapturem był owinięty. Zrzucił ów kaptur, bacznie po sali się rozglądając (aczkolwiek zauważył jedynie trzech śpiących opojów, gdyż ich długowłosey towarzysz za kolumną był skryty, zaś nowo przybyły wąsacz poza jego polem widzenia znajdował się). Nadal jednak stał tak w progu, nie przekroczywszy go.

— Szanowny pan zechce wejść, u Joyne lokal porządny, a gości niewiele — zaprosił go karczmarz (chytznie nie wspomniał, że ci goście w ciągu paru godzin więcej wypili trunków, niżli delegacja podlubelskich górników Barbórkowe święto fetujących). Gość w kapturze uśmiechnął się szeroko — odśaniając istic wilcze zęby — i szybkim krokiem podszedł do szynkwasu.

— A co Joyne poleca? — zapytał konkretnie; na odpowiedź musiał jednak chwilkę poczekać, gdyż nieszczęsny karczmarz oniemiał. Dziwnie bowiem wyglądał ów gość nowy: spod białego płaszcza wyzierał wprawdzie tatarski strój — jednak człek ów ani krymskich, ani chześcijańskich cech twarzy nie miał, cera jego zaś przypominała alabaster (i jak prastara alabastrowa maska zakrzepnięte zdawały się być, okolone czarną bródką, rysy jego).

— Stek wołowy mocno na czosnku wysmażon polecam — wykszusił Joyne po dłuższej chwili.

— To ja poproszę raczej mocno krwisty. I całkowicie bez czosnku! — odrzekł dziwny gość; po czym rozejrzał się po sali. Zauważył wtedy czwartego mężczyznę opartego o pionową belkę. Wykonał gest, jakby chciał szybko wyjść; nie wiadomo jednak, czy powodem był widok drzemiącego długowłosego, czy głos długowąsego dobiegający z przeciwnego krańca karczmy:

— Witam, mospanie Mellechowicz! Zapraszam Waści do stołu!

Błady (i chyba jeszcze bardziej — jeśli to możliwe — pobladły) brodac odwrócił się powoli.

— A, imć Luśnia! Co za niespodzianka! Prędeż bym się nagłej śmierci spodziewał...

Kątem oka zauważył jednocześnie, iż rezolutny karczmarz próbuje niepostrzeżenie zasłonić się złotym medalionem z wygrawerowaną sześcioramienną gwiazdą.

— Sięgnąłeś po złe ciało niebieskie — złośliwie syknął domniemany Tatarzyn.

Usiadłszy już naprzeciwko pana Luśni – pan Mellechowicz na zydel obok zrzucił swój przeciwstłoneczny płaszcz. Rzeczywiście, tatarski nosił strój; był to jednak równocześnie przyrodziewek wojskowy, Tatarom od pokoleń wiernym Rzeczypospolitej przynależny.

Zydor Luśnia, powszechnie zwany srogim, kontynuował dyskurs:

– Pan Azja Mellechowicz... A może pan Azja Tuhajbejowicz? Wszak w łaźni ryby siną barwą kłute na klacie Waszmości żem wypatrzył!

– I co z tego, że się takowym tatuażem po pijaku przyzdobiłem? – odwarknął Mellechowicz-Tuhajbejowicz.

– A to z tego, iż to rodowy znak rodu Tuhaj-beja. Ryby nosił jego ojciec, ryby nosił on sam, ryby nosi jego zaginiony synalek. Takie same ryby. A może nawet... te same.

– Co Waćpan imaginujesz? – domniemany syn Tuhaj-beja szybko zamrugnął oczami.

– Ano to, że rysunek ryb na piersi Tuhaj-bejowego ojca niedoskonały był. Kreska na płetwie tej po prawej wyraźnie poszła w bok. Wiesz, Acan, dlaczego?

– Ciekawym...

– Bo artysta, rybę ową wykłuwający, boleśnie a krwawo w palec się był skaleczył. I wiecie, mości Mellechowiczu, co wtedy się stało?

– Ciekawym, mówię!

– Ano ojciec Tuhaj-beja w tę krwawiącą rękę z nagła go ukąsił!

– Wszak różne rzeczy ludzie na fotelu u dentysty wyczyniają, to i podczas równie boleśnego robienia sobie dziary nie wytrzymać można...

– Niby tak. Ale taką samą skazę miała, jak opisują kronikarze, jedna z ryb na piersi ojca Waszeci, taką też na piersi Waszmości wypatrzyłem.

– Musi to rodzaj nowej świeckiej tradycji, pamiątka tamtego niefortunnego wydarzenia.

– Takim i ja pomyślał. Zastanowiło mnie jednak, że dziad Waszmości zniknął bez śladu, zaś truchło... to jest, chciałem powiedzieć, szacowne zwłoki ojca Waszeci całkowicie zmasakrowaną twarz miały.

– Ale przecie właśnie po rybach siną barwą kłutych nieszczęsnego (niech mu w raję nie skąpią hurys i hurysy!) Tuhaj-beja zidentyfikowano.

– Niby tak. Tyle jeno, iż nie kłutymi one się okazały, lecz nieudolnie inkaustem narysowanymi – gdyż od deszczu, który zrosił pole bitwy, rozmazały się nieco...

Tę interesującą konwersację na chwilę przerwała biuściasta dziewczka, stawiając przed rozmówcami misy z przyrządzonym według zamówienia stekami, gliniany dzban wina, dobrze wypieczony bochen chleba oraz kielichy i sztućce.

Jednak obu oficjerom nie wieczerza była teraz w głowach.

– Bullshit to wszystko, kamieni kupa i lipa jedna! – wyraźnie zirytował się Mellechowicz.

– Może to nawet lipki jakoweś; ale kilka ostatnich wydarzeń we Chreptowie czujność moją wzbudziło – kontynuował pan Luśnia.

– Czego Waść jeszcze? Uczepiłeś się upierdliwie jak rzep psiego ogona, a upartyś tępo jako młot jakowyś! Do jakiego CBA, ABW czy innej tajnej służby byś się nadał – coraz mocniej złościł się syn (?) Tuhaj-beja.



— A to, że pani pułkownikowa coraz wyraźniej słabuje. I jakieś dziwne skazy na jej szyi pojawiły się.

Mellechowicz, który przy wzmiance o pułkownikowej mimowolnie a szybko oblażał usta koniuszkiem języka, wzruszył ramionami:

— Może w stanie odmiennym po prostu jest? Widać pan Michał Wołodyjowski nie wszystkim taki mały...

— A owe skazy na szyi?

— Dżuma? Alibo choroba francuska?

— Rumuńska raczej — zamruczał srogo Luśnia.

Mellechowicz udał, iż nie usłyszał tej ostatniej uwagi; jego rozmówca zaś kontynuował swą gadaninę:

— A wcześniej przecież niezła makabra wydarzyła się wokół młodego pana Nowowiejskiego. Jego siostra i jego narzeczona nagle pomarły. A jeszcze wcześniej podobne znaki wezwany medyk zauważył na ich szyjach, jak teraz u pani Baški. Młody Nowowiejski to nawet do zachora po pomoc się udał. Ten również nic nie poradził. Jenó po pogrzebie zalecił trumny ze zwłokami panny Ewki i panny Zosi wykopać i głów je pozbawić...

— Nie przypominaj mi, Acan, owej paskudnej historii, bo jeść nie będę mógł! A ci Nowowiejscy to jakowś dom zły jest po prostu: ojczulek ewidentny sadysta, a synalek nekrofilnym praktykom planował się niechybnie oddawać.

— Bzdur, Waszmość, nie wygaduj! Nawet na Dzikich Polach takie jak my niebożęta i bękarty wojen nie muszą w nagłej potrzebie iść zaraz aż w nekrofilę, gdy rozmaitego żywego inwentarza po zagrodach dostatek. A młodemu panu Nowowiejskiemu cała ta sprawa wyraźnie radości żadnej nie przyniosła, skoro – zdekapitowawszy już obie nieszczęśnice – z dzikim wzrokiem przed siebie (notabene na najlepszym wierzchowcu pana pułkownika) precz popędził. Czeladź słyszała, jak kizyczy do siebie, iż po tym koszmarze na bezkres stepu już patrzeć nie może i że diametralnie chce zmienić swe życie – niezależnie, czy komendantem królewskiej policji w stolicy zostanie, czy wręcz przeciwnie: zbójować zacznie gdzieś po górach.

— Gadasz, panie Luśnia, i gadasz. A strawa nam wystygnie. Czas już chyba kończyć tę dziwną konwersację...

— Tak, panie Mellechowicz vel Tuhajbejowicz. Najwyższy czas kończyć!

Tu wążacz niewiarygodnie szybko zerwał się z ławy. Lewą rękę rozchylił gwałtownie koszulę na piersi brodacza, prawą zaś wbił prosto w oko ryby wytatuowanej na lewej piersi osinowy palik – który już od dłuższego czasu dyskretnie pod stołem ważył w dłoni.

Bładolicy wrzasnął straszliwie. Naprawdę straszliwie, gdyż w tym przenikliwym głosie nie było nic ludzkiego. Przy czym rozwarł szeroko usta; tak szeroko, jak czynią to węże, a jak żaden człek by nie potrafił. W jego paszczy (bo trudno tu użyć innego określenia) zobaczyć można było drugi, jakby „wewnętrzny”, rząd zębów: ostrych jak szpilki, z dwoma szczególnie długimi kłami.

— Ha, krzeczsz! — wykrzyknął triumfalnie srogi Luśnia.

Przez ciało zakołkowanego monstrum zaczęły przebiegać kolorowe błyskawice, przypominające morskie ognie świętego Elma (Angielczyki z zamorskich kolonii ponoć je ogniami koszmarne Elm Streeta nazywają).

Dziewka zemdlała i padła na wznak nieopodal szynkwasu. Karczmarz czmychnął na zaplecze i tam zabarykadował się starannie. Trzej opoje jedynie zamlaskali przez sen i... równo chrapali dalej. Ich tajemniczy towarzysz zdjął palec ze spustu schowanej w torbie małej kuszy o uniwersalnych (osinowe trzonki plus srebrne grotty!) strzałkach i bezgłośnie szepnął do siebie: „Nieźle wyrzucił mnie w robocie, gaduła jeden” – po czym spokojnie zapadł w niesymulowaną już drzemkę.

Natomiast srogi pogromca wampirów jak gdyby nigdy nic zabrał się za pałaszowanie, rzeczywiście stygnącego już powoli, steku. „Możem i młot – ale przeznaczon na potępieńskich krwiopijców i ciągle skuteczny sakramencko” – pomyślał ze złośliwą satysfakcją. Naprzeciwko jego niedawny rozmówca powoli rozsypywał się w proch.

Gdy pan Luśnia, posiliwszy się zdrowo i zostawiwszy na stole zapłatę wraz z sowitym napiwkiem, bez pośpiechu opuszczał karczmę – po „panu Mellechowiczu” został już tylko niewielki stosik fosforującego pyłu... I świecił długo.

24–26.VI.2014 r.





## PAPIER TO PAPIER, ZOSTAJE...

Z TOMASZEM KOŁODZIEJCZAKIEM ROZMAWIAJĄ  
KAROLINA KACZKOWSKA I GRZEGORZ SZCZEPANIAK

**(CK) Po wieloletniej przerwie można Cię znowu spotkać na konwentach. Czy według Ciebie fandom się zmienił?**

(TK) No jasne, że się zmienił. Kiedy ja miałem te 18–20 lat, konwenty były towarzysko-lit-rackim zjazdem kumpi, którzy chcieli się razem napić piwa, przy okazji gadając o literaturze. Dziś to multimedialne przedsięwzięcia rozrywkowe, z gramy, figurkami, koszulkami, fanami różnych konkretnych uniwersów i brandów. Myśmy marzyli, żeby na konwenty przyjeżdżały tysiące osób, żeby tam odbywały się targi popkulturowe, żeby literaturze towarzyszyły inne media. Żeby oprócz geeków przychodziły zwykli czytelnicy/oglądacze/gracze. Takie właśnie imprezy starałem się robić na początku lat 90. w Warszawie, w ramach cyklu „Sobota z fantastyką”. No i się udało. Jednocześnie ja sam nie jeżdżę już na konwenty jako fan, tylko prelegent, gość, wystawca, a – z przyczyn oczywistych – nie uczestniczę w wieczornej integracji dzisiejszych 20-latków. Często więc kiedy wychodzę z sali prelekcyjnej na dzisiejszym konwencie, nie mam po prostu co robić. Wielu dzisiejszych uczestników konwentów to klienci, którzy kupują akredytację i chcą mieć zapewnioną rozrywkę. Ale to normalny proces, nowe generacje przychodzą, dawni fani stają się mędrkami w marynarkach. Życie.

**Mówi się, że w Polsce pisarz, poza nielicznymi wyjątkami, nie jest się w stanie utrzymać z pisania. Czy zgadzasz się z tym stwierdzeniem?**

O ile wiem, kilku kolegów utrzymuje się z pisania książek oraz towarzyszących temu zajęciu działań dodatkowych (jak np. pisanie tekstów do prasy, czy redagowanie). Ja jestem wydawcą od niemal 20 lat, to jest mój podstawowy zawód, a pisanie stanowi ważny – ale jednak tylko – dodatek do mojej profesji. Także w aspekcie finansowym.

**Inne popularne stwierdzenie: W Polsce więcej osób pisze niż czyta. Czy też tak uważasz?**

Eee... chyba nie, bo kto by te książki kupował?

**Zdaje się, że bardziej od fantasy wolisz fantastykę naukową. Jak zatem oceniasz poziom współczesnej polskiej sf? (która prawie nie istnieje :P)**

Nie czytam tyle polskiej fantastyki, co kiedyś, więc nie jestem już, czego żałuję, kompetentnym jej komentatorem. Mam też wrażenie, że gatunki tak się wymieszały, że czasem dawne systematyki przestały być aktualne. Autorzy – z mojego punktu widzenia – młodzi (wiem, wiem, obecni na rynku od lat), których książki bardzo mi się podobają to np. Rafał Orkan, Maciej Guzek, Krzysztof Piskorski. Klasą dla siebie jest Ania Kańtoch, uwiellbiam jej prozę. Sporo fajnej fantastyki naukowej ukazało się w antologiach Powergraphu. Poza tym, póki Jacek Dukaj pisze, o poziom polskiej SF się nie boję.

### **Jak się ma polski komiks?**

Komiks w Polsce – całkiem niezłe. Na rynek trafia bardzo dużo, bardzo różnorodnych tytułów ze wszystkich komiksowych kultur świata. Nakłady wciąż nie są duże, ale ostatnio rosną. Komiks Polaków – też się ruszył, ale tu problem nakładów (czyli honorariów) jest kluczowy (autorzy SF wydają się przy komiksiarzach, jeden w drugiego, bestsellerowcami). Szansą na zawodostwo, czy choćby „ćwierczawodowstwo” jest praca dla wydawców zagranicznych, wykonywanie komiksów na zlecenie instytucji, stripy dla prasy, dodatkowe dochody (np. z udziału w konkursach).

Egmont próbuje trochę ten rynek animować. Wydawaliśmy coroczną antologię z Muzeum Powstania Warszawskiego. Jesienią 2014 opublikujemy aż 5 różnych komiksów, pokłósie konkursu im. Janusza Christy na komiks dla dzieci, ogłoszonego rok temu. Będzie też druga edycja.

Ogólnie trzeba powiedzieć – fan dowolnego typu komiksów jest w stanie w Polsce kupić to, co go interesuje.

### **Czego można się spodziewać po Twojej najnowszej powieści?**

To kolejna odsłona świata Ostatniej Rzeczypospolitej (wcześniej *Czerwona Mgła* i *Czarny Horyzont*), grubsza powieść, a w zasadzie pierwszy tom planowanej dylogii. Pojawią się starzy bohaterowie, ale wprowadzam też kilka nowych postaci. Część akcji dzieje się na Marsie, część w opanowanej przez mroczne siły Europie. A Polacy cały czas na froncie. Dla zapoznania się ze szczegółami zapraszam do lektury, oczywiście.

### **Jak układa się Twoja współpraca z Przemkiem Trucińskim? Czy ilustrator może też inspirować pisarza?**

Z Przemkiem współpracujemy od lat, ale się także po prostu przyjaźnimy. Więc współpraca ma dla nas charakter spotkania zawodowego, twórczego, ale też towarzyskiego, koleżeńskie-go. Uwielbiam jego grafiki, on lubi moją prozę. Uważam, że znalazł doskonały sposób na jej ilustrowanie, miks realizmu i metafory, przyszłościowego techno i wystroju II Rzeczypospolitej. Czasem dyskutujemy o szczegółach, czasem muszę mu tłumaczyć, jakie motywy mogą się pojawić w grafice, a jakie nie powinny. Wpływ zwrotny? To właśnie rysunki Przemka dookreśliły w moim umyśle wizerunek głównego bohatera. Ja sam mam zerową wyobraźnię plastyczną, nie widzę moich bohaterów. Jedynie ich opisuję.

### **Jakie masz literackie plany po zakończeniu obecnego cyklu?**

Nie sięgam tak daleko w przyszłość. Na razie muszę dopisać drugi tom *Białej reducy*. Mam w komputerze pomysły na sporo opowiadań, ale brakuje mi czasu. W weekendy piszę powieść, w tygodniu wydaję komiksy.

### **Kilku znanych niegdyś autorów polskiej fantastyki porzuciło ten gatunek. Czy istnieje niebezpieczeństwo, że możesz zacząć pisać prozę inną niż fantastyczną?**

To nie jest niebezpieczeństwo, a po prostu jedna z opcji. Fantastyka to konwencja dająca autorowi pewne środki artystyczne, ale i pewien target czytelniczy. Lubię ten gatunek, to moje naturalne środowisko, ale jeśli uznam, że chcę napisać tekst bez elementów SF, to po prostu to zrobię.



### **Jak oceniasz self-publishing?**

Jak najlepiej. Jeśli duży wydawca Cię nie chce – działaj sam. To samo robiło moje środowisko 25 lat temu (to już tyle czasu?!), kiedy zakładaliśmy „Fenixa”, „Voyagera”, redagowaliśmy książki. Wyszliśmy na ludzi, więc polecam.

### **Co czytasz w wolnym czasie albo czytałybyś, gdybyś miał wolny czas?**

Czytam sporo. Mniej niżbym chciał, ale chyba jednak niemało jak na współczesne standardy. Książki historyczne i popularnonaukowe, komiksy Egmontu i konkurencji, klasykę polskiego piśmiennictwa, nie tylko literackiego, dzieła pisarzy starożytnych, czasem sięgam po poezję. Oglądam sporo seriali, one wraz z komiksami nieco zaspokajają moją potrzebę fabuły. Coraz mniej beletrystyki, a jeśli już to raczej fantastykę. No, a do tego masę gazet – jestem zwierzę polityczne.

### **Co byś poradził początkującym pisarzom?**

Przed wszystkim czytać dużo różnorodnych tekstów, wzbogacać język i erudycję. Pisać, wysyłać teksty do gazet i na konkursy, zakładać ziny i portale. Ale przed wysyłką uważnie sprawdzić, dać do przeczytania komuś życzliwemu, ale krytycznemu, poprawić literówki i inne błędy. Nic mnie tak nie wkurzało jako redaktora pisma, jak niechlujstwo młodych kandydatów na pisarzy.

### **W której roli czujesz się najlepiej: fana, twórcy, redaktora, wydawcy?**

Cztery gęby jak u Światowida... Tak naprawdę teraz jestem wydawcą, który czasem pisze prozę, bywa na konwentach i wciąż zbiera książki i komiksy. Od dawna niemal nie redaguję cudzych tekstów i niemal nie piszę publicystyki. Ale każdy z tych aspektów obcowania ze sztuką, fantastką, ludźmi jest dla mnie nadal ważny.

### **Czy taka droga – od pasjonata do zawodowca – jest spełnieniem Twoich marzeń?**

To wielka frajda przez całe życie pracować w obszarach, które od dzieciństwa były moimi hobby – myślę tu o fantastyce, komiksie, grach. Jak by ktoś mnie 30 lat temu spytał, czy marzę o takiej, nazwijmy to, karierze, to bym odchrzyknął mu gromkim TAK z dziesięcioma wykrzyknikami. Wciąż bawi mnie to, co robię. Spotkałem wszystkich moich dawnych mistrzów komiksowych, których dziełami zaczytywałem się w dzieciństwie. Mam wśród pisarzy, fanów, tłumaczy, wydawców wielu przyjaciół. Na półkach w domu mnóstwo książek i komiksów. Nie narzekam.

### **„Czerwony Karzeł” powraca po 15 latach. Czy wydawanie papierowych fanzinów, zwłaszcza literackich, w drugim dziesięcioleciu XXI wieku ma jeszcze sens? Jak oceniasz naszą inicjatywę?**

Ma. Ma. Ma. Doceniam możliwości, jakie daje Internet, ale jestem jeszcze z epoki przeddigitalnej. Papier to papier, zostaje. Robienie pisma literackiego to jedna z najfajniejszych rzeczy w naszej branży, zaś wspólna praca z klubowymi przyjaciółmi, co wiesz lepiej ode mnie, to doskonały sposób na spędzenie czasu. Więc – trzymam kciuki za nową edycję.

# Ślub nad Białą



Opowieść historyczna z czasów baroku  
przez Tomasza Meringa  
w komiks przetworzona

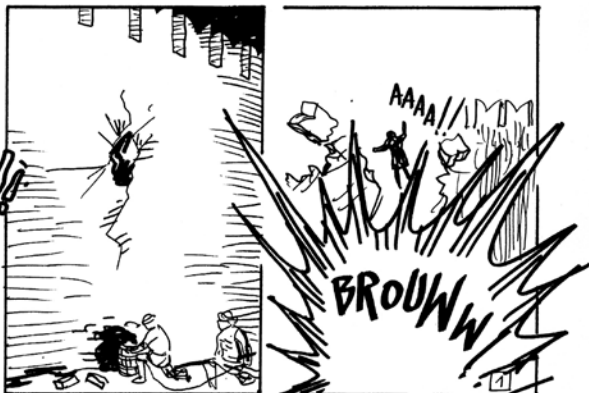
Jakub Wejher, magnat pomorski, żołnierz i senator Rzeczypospolitej, urodził się w 1609 roku. Był synem wojewody chełmińskiego Jana Wejhera i wnukiem starosty puckiego Ernesta Wejhera.

8 listopada 1632 roku królem Polski został Władysław IV. Pierwszym problemem nowego władcy była wojna z Moskwą. W lipcu 1633 roku miał wygasnąć rozejm zawarty z nią w Dywilinie. Już w październiku 1632 roku, po zajęciu 24 pomniejszych miast i zamków, wojska rosyjskie stanęły pod Smoleńskiem, obsadzonym przez polską załogę. Tu zaczyna się nasza opowieść.

Rosjanie zgromadzili pod murami twierdzy 25 000 żołnierzy i około 150 dział. Mroźna zima i brak najcięższej artylerii odwlekły szturm.



Obłężenie rozpoczęło się  
wiosną 1633 roku.







W połowie lipca 1633 roku zaczął się atak.

Dwutysięczna polska załoga Smoleńska zdołała go odeprzeć. Rosjanie wycofali się na swoje pozycje.



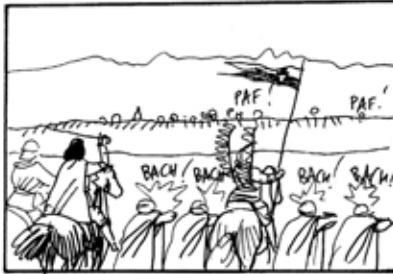
Dowódca wojsk rosyjskich Michał Szejn nie zdążył przeprowadzić drugiego szturm na Smoleńsk. Władysław IV nadciągnął tam 30 sierpnia 1633 roku, a za nim około 30 000 piechoty i jazdy, w tym 3 000 husarii. Przybył też z królem pod Smoleńsk Jakub Wejher ze swoją piechotą. Wojska królewskie na miejscu połączyły się z siłami hetmana litewskiego Krzysztofa II Radziwiłła i kilkoma tysiącami kozaków zaporoskich. Król dysponował też ciężką artylerią.

Sily rosyjskie okopały się w obozach wokół twierdzy. Polacy, chcąc oswobodzić Smoleńsk, musieli atakować kolejne pozycje wroga. Do prowadzenia walki w ten sposób król potrzebował piechoty.



25 września 1633 roku połączone wojska polskie i litewskie wraz z piechotą Wejhera uderzyły na obóz rosyjski, dowodzony przez Szejna, odnosząc zwycięstwo.

Przy zdobywaniu wałów Jakub Wejher został ranny w nogę, ale walczył dalej, aż do sygnału odwrotu. Pamiętnikarz Albrycht Stanisław Radziwiłł odnotował, że *“Wejher dawał dowody niezwykłej cnoty bojowej”*.



W marcu 1634 roku król Władysław IV powraca do kraju z wyprawy smoleńskiej. Wojna ostatecznie zakończyła się pokojem w Polanowie. Jakub Wejher bierze udział w oblężeniu białoruskiego miasteczka Biała nad rzeką Obszą. Na skutek wybuchu miny znalazł się w niebezpieczeństwie utraty życia. Przysypany zwalami ziemi i gruzu uczynił ślub.

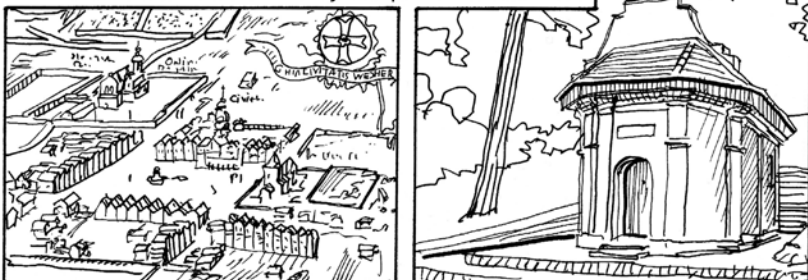




Rosnąca popularność nabożeństwa Drogi Krzyżowej stała się bodźcem dla Jakuba Wejhera. Postanowił on w swoich włościach ufundować również Kalwarię. W 1637 roku upatrzył sobie teren między rzeczkami Biała (dziś Cedron) a Srebrna.



W 1643 roku, w dzień Trójcy św., fundator wystawił przywilej Nowej Kolonii Wejherowskiej. 13 stycznia 1650 roku król Jan Kazimierz nadał przywilej na lokację miasta Wejherowska Wola. W ten sposób powstało jedyne prywatne miasto na Pomorzu i ostatnie założone tutaj na prawie chełmińskim.



Współcześnie miasto to znamy jako Wejherowo.



GRZEGORZ SZCZEPANIAK

## BAROK, FANTASY I STRACONE NADZIEJE

Kiedy nasza wrocławska rezydentka Karolina Kaczkowska rzuciła pomysł, żeby GKF wznowił wydawanie literackiego fanzinu, jako SzeF Działu Wydawniczego bardzo się ucieszyłem. Tym większa była moja radość, że to właśnie ona zgodziła się objąć naczelnikowanie temu projektowi. Od razu też zasugerowała, by powrócić do wypracowanej dawno temu w GKF strategii tworzenia numerów tematycznych. Tak przed wielu laty działał „Claps” (przynajmniej w pewnym zakresie), takie też było główne założenie „Dragon Helma” (nb. w pierwszej chwili to właśnie ten tytuł zamierzaliśmy reaktywować, ale potem się okazało, że „DeHa” nie miała nigdy samodzielnego ISSN, stąd też powrót do „Czerwonego Karła”). Z miejsca zaczęliśmy się też zastanawiać, jaki leitmotiv powinien towarzyszyć temu pierwszemu po piętnastu latach numerowi „Karzełka”. Natchnieniem okazał się tegoroczny Nordcon, który zabiera uczestników na Dzikie Pola. Od słowa do słowa postawiliśmy na... barok, tę przedziwną epokę w dziejach europejskiej kultury, w której mieszały się zarówno wątki racjonalne, jak i wzmożona religijność, której sztuka, jak nigdy wcześniej, grała na oczarowanie odbiorcy, a jednocześnie nie rezygnowała z warstwy pedagogicznej. Do tego należy dodać jej lokalną specyfikę, związaną z niekończącymi się wojnami, które w XVII wieku praktycznie wyniszczyły Rzplಿತ. Wydawało się nam, że barok to temat samograj – tymczasem w praktyce okazało się, że nie znajdziemy materiału, z którego można byłoby sklecić przyzwoitej objętości zin.

Czemu się tak dzieje? Odpowiedzią na to pytanie może być choćby pobieżna kwerenda, ile tekstów nawiązujących do baroku wydała z siebie polska fantastyka. To liczba bardziej niż skromna. W dodatku, gdyby odjąć całą post- i antysienkiewiczowską produkcję naszych rodzimych twórców, to nie byłoby się już czym pochwalić. No bo cóżby się ostało? Cykl Kresa „Zjednoczone Królestwa” i *Cienioryt* Piskorskiego. Naprawdę nie wiem, co jeszcze. I choć wspomniany *Cienioryt* to kąsek naprawdę smakowity (odsyłam do mojej recenzji w „Informatorze GKF”), pozostaje jaskółką, która żadnej wiosny nie uczyni. Barok jest epoką dziwnie zamilczaną w naszej kulturze, rodzajem jakiegoś wstydliwego upodobania z gatunku słabości do disco polo: niby każdy się obrusza, ale w domowym zaciszu trudno powstrzymać stopę od wystukiwania rytmu, ilekroć się na tę muzykę w telewizorze trafi...

Jest to sprawa o tyle dziwna, że – jakby się dobrze przyjrzeć – proza fantasy jest z gruntu barokowa. Nie tyle w obrazach literackich rzeczywistości (tu dominuje oczywiście umowne średniowiecze i starożytność), ile w sposobie ich kreacji. Sprowadzając rzecz do najniższego wspólnego mianownika: chodzi o przerost formy nad treścią. Niewielu jest autorów, którzy mają wystarczającą wiedzę i potrafią być na tyle konsekwentni, by w kreowanych światach nie pomieszać ze sobą chociażby rodzajów broni różnych epok, politycznych ustrojów i innych imponderabiliów. Ostatecznie zawsze przecież chodzi o efekt, a nie poprawność historyczną. Czym



się ta postawa różni od wyczynów barokowych twórców?

Nie możemy też zapominać o tym, że jednym z pierwszych tekstów na drodze do fantazy był *stricte* barokowy *Goffred albo Jerozolima wyzwolona* Torquato Tassa (polską trawestację tego poematu napisał Piotr Kochanowski, bratanek Jana z Czarnolasu). *Jerozolima...* to tekst dziś właściwie zapomniany, nie uczy się o nim w szkole ponadgimnazjalnej, na studiach też nie za bardzo (co tu się wygłupiać – przecież i ja jej nie przeczytałem w całości), a to kopalnia fantastycznych scen, postaci i pomysłów, która aż się prosi o współczesną epicką wersję (może być film). W swoich czasach była to historia, która rozpałała wyobraźnię dziesiątek twórców różnych dziedzin niczym *Boska Komedia* Dantego lub z odmian literackich nam bliższych i współczesnych – *Władca Pierścieni*, *Harry Potter* czy *Gra o tron*. Umówiliśmy się z Karoliną, że to ona napisze na temat *Goffreda*, więc nie będę jej wchodził w kompetencje, ale jeśli przyjrzy się temu poematowi, napotkacie w nim mnóstwo wątków i motywów, którymi do dzisiaj karmi się fantazy. A dodając do tego nieprawdopodobną historię jego twórcy, który dwukrotnie sam się zgłaszał przed trybunał inkwizycyjny, by poznać jego zdanie na temat prawomyślności swojego dzieła, a potem (mimo przychylnego wyroku) własnoręcznie przerabiał swój tekst, by usunąć z niego wszelkie heretyckie elementy – to mamy kolejny temat na prawdziwie fascynującą opowieść o mękach twórcy, który przebija rojenia Dana Browna o Michale Aniele. Z Tassesem, podobnie jak z barokiem, jest tylko jeden problem: był za bardzo katolicki, a to dzisiaj niestety powód do dyskwalifikacji. Zaden szanujący się twórca nie będzie rozwijał takich wątków, żeby nie skończył na stosie rozpalonym przez

tolerantów dla faszystów i fanatyków religijnych. Współczesna inkwizycja inną ma twarz i na pewno brak jej miłosierdzia.

Wracając jednak do fantazy – nie tak dawno wydaliśmy (my, czyli GKF) książkę fetującą 30-lecie tej odmiany fantazjowania w Polsce (Małgorzata Tkacz, *Baśnie zbyt prawdziwe...*), a latem tego roku we współpracy z UG opublikowaliśmy kolejną pozycję w serii „Anatomia Fantastyki” pt. *Anatomia wyobraźni*, w której znajdziecie esej Katarzyny Kaczor *Bogactwo polskich światów fantazy*. Oba te teksty uświadomiły mi, że miałem niecodzienną okazję osobiście obserwować proces rodzenia się i dojrzewania polskiej fantazy. Naszły mnie przy tej okazji również smutne refleksje związane z niewykorzystanymi szansami tej literatury. O kilku z nich chciałbym teraz wspomnieć.

**Po pierwsze Imperium Jacka Piekary.** Wszystko zaczęło się w roku 1987 od mikropowieści *Imperium. Smoki Haldoru* z zeszytowej serii „Magia i Mieczem” Iskier. Kiedym miał 15 lat, *Smoki...* czytałem może nie z wypiekami na twarzy, ale z mrowieniem w uszach na pewno. Wydawało mi się wówczas, że oto wpadłem na początek znakomitej sagi, która rozwinie się we wspaniałe epickie dzieło. Jakimż rozczarowaniem była książka Wydawnictwa Białowieża! Wszystko było w niej nie takie (bohaterowie, język, świat), historia się pruća jak stare prześcieradło, ulotnił się też klimat mroku i tajemnicy, dominujący nad zeszytem Iskier. Sam autor chyba też to rozumiał, bo nie kontynuował cyklu, mimo że opowieści daleko było końca, zakreślonego zresztą w znacznie wcześniejszym opowiadaniu *Smok*. Patrząc na ten niedokończony cykl z perspektywy ponad ćwierćwiecza, dostrzegam w nim potencjał co najmniej *Pieśni Lodu i Ognia*. Może mapce dołączonej do książeczki Iskier

brakuje rozmachu świata Martina, ale ten brak dałoby się spokojnie odrobić, bo przecież to jedynie fragment. A przecież są smoki, które kontaktują się ze sobą telepatycznie i potrafią wpływać na decyzje swoich panów. Żądza władzy jest należycie rozbudzona we wszystkich władcach Haldoru. Nic tylko sięć i spisać dzieje wojen, sojuszy i zdrad, zakropić to uczciwie okrucieństwem i seksem (akurat tych tematów Piekara się nigdy nie wystrzeżał) i kosić pieniądze jak złoto. Swoją drogą, że też Jacek nie wytoczył Martinowi sprawy o plagiat! Może i jej by nie wygrał, ale rozgłosu by sobie narobił, że hej!

**Po drugie Mageot.** Historia się rozpoczęła opowiadaniem *Nazywam się Mageot* Krzysztofa Kochańskiego, które ukazało się najpierw w magazynie PSMF „Feniks” (w roku 1986) a później w antologii *Dira Necessitas* (bodajże w 1988). To była naprawdę oryginalna historia i bardzo ciekawy pomysł na świat fantasy, w którym magia jest siłą uśpioną i manifestuje się dopiero w momencie, kiedy jej – nie zawsze tego świadomi – nosiciele są zagrożeni. Wówczas, niczym wirus, przejmuje władzę nad nieszczęsnym i zaciekle walczy o swoje przetrwanie. Na kontynuację losów Mageota musieliśmy czekać do roku 1992 (ta data nie jest pewna, bo nie mam pod ręką swojej biblioteczki i nie mogę sprawdzić), kiedy w „NF” ukazało się bardzo udane opowiadanie *Gniew*. Niestety, Kochański to jeden z wielu autorów, którzy nie lubią tej odmiany fantazjowania i zanim na dobre rozwinął swój oryginalny pomysł na świat fantasy, gdzie magia jest zjawiskiem nietolerowanym, a osoby nią naznaczone – bezwzględnie ścigane, zapowiedział rozstanie z nią. Na zakończenie w 2002 roku wydał jeszcze zbiór pt. *Mageot*, w którym obok wymienionych opowiadań znalazła się także powieść *Powrót Mageota*. Po jej

opublikowaniu kontynuowanie tego cyklu byłoby zadaniem karkołomnym, nawet jeśliby Kochański wcześniej rozvodu z fantastyką baśniową nie zapowiedział. A szkoda, bo w połowie lat 80. XX wieku dwaj byli wielcy bohaterowie polskiej fantastyki: Geralt i Mageot – i nie było jasne, który z nich zwycięży. Kochański poddał tę rywalizację bez walki.

**Kolejnym autorem, który zaprzepścił całym fajny pomysł, jest Rafał Ziemkiewicz.** Chodzi oczywiście o *Skarby stolinów*. Paradoks polega na tym, że – jak w wypadku wielu wydawnictw fonograficznych ciekawsze utwory znajdują się na stronach B singli – tak w książce Ziemkiewicza wyróżnia się opowiadanie będące niejako dodatkiem do tytułowej powieści, czyli *Hrebor Cudak*. I gdyby Ziemkiewiczowi chciało się iść drogą budowania oryginalnych historii, a nie korzystania z gotowych schematów fabularnych (w jego wypadku z *Hobbity*), może i udałoby się wykreowanie świata opierającego się na słowiańskiej mitologii i językowej dekonstrukcji staro-cierkiewno-słowiańskiego. A tak skończyło się okrutną kpina Kresa w *Stolcach stalinów*. Nie mogę się też oprzeć wrażeniu, że Rafał także nie przepadał za fantasy, a jego rozstanie się z fantastyką na rzecz powieści społeczno-obyczajowych i publicystyki politycznej – tylko potwierdza moje przypuszczenia.

**Ważne miejsce w przeglądzie niespełnionych nadziei polskiej fantastyki z jej pionierskich czasów zajmuje Tomek Kołodziejczak.** Mało kto wie, a już z pewnością niewielu pamięta, że – zanim stworzył świat *Czarnego Horyzontu* i *Czerwonej Mgły* (mało ortodoksyjne to fantasy) – wygrał konkurs „Na przełaj” opowiadaniem pt. *Łuczniczka*. W nim również pobrzmiewają słowiańskie nuty, ale w historii oprócz germańskich najeźdźców



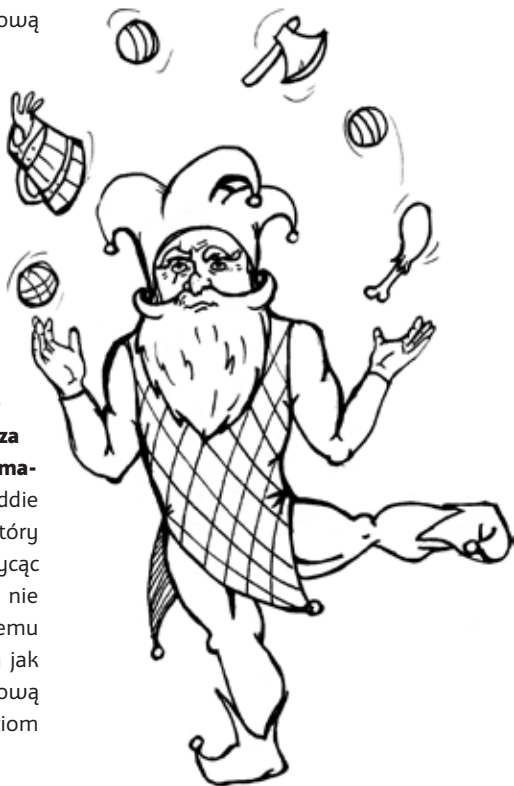
pojawia się też bazylijszkowaty stwór terroryzujący spokojnych mieszkańców. Później Kołodziejczak próbował jeszcze ze światem fantasy, w którym nie ma mieczy, bo nie występuje w nim metal, a magia ma charakter pierwotnej i trudnej do okiełznania siły (*Krew i kamień*). Niestety, żadnego z tych pomysłów nie kontynuował, bo znacznie lepiej czuł się w sf. Na jego usprawiedliwienie trzeba napisać, że cykl o Dominium Solarnym to dziś prawdziwa klasyka polskiej sf.

**Nie udało się także przygoda z fantasy Tomaszowi Bochińskiemu.** Współautor tomiku *Królowa Alimor* z kilkoma fajnymi opowiadaniem fantasy, jako powieściopisarz zadebiutował sporych rozmiarów książką pt. *Sen o Złotym Cesarstwie*. Przyznając, że niezbyt mnie ona urzekła, kiedy ją czytałem w 1991 roku. Ale gdyby oddać ją w ręce rozsądnego redaktora, wyrugować językową nieporadność, fabularne dłużyzny i inne wady, typowe dla autorów pierwszej obszernej powieści – może i udało by się uratować historię poszukiwań bramy w murze broniącym dostępu do Złotego Cesarstwa. A tak, autor porzucił swoich czytelników niczym bohatera, nie rozwiązując zagadki i kwita. Podobno zresztą napisał drugą część, zamykającą cykl, ale nie ujrzała ona światła dziennego. Może szkoda...

**Na zakończenie wypada mi jeszcze wspomnieć cykl opowiadań Kazimierza Minko z fanzinu „Nazgul” o Eddiem – maskotce zespołu Iron Maiden.** Tenże Eddie okazuje się kosmicznym rozbitkiem, który terroryzuje średniowieczną krainę, sycąc się brutalnymi mordami i niczego sobie nie robiąc z krucjat wysyłanych przeciw niemu przez lokalnych władców tak świeckich jak i duchownych. Jak na twórczość fanzinową opowiadania te prezentowały niezły poziom

(Kazik był zresztą twórcą jednej z pierwszych polskich gier paragrafowych pt. *Kosmiczna ruletka*) i swego czasu były prawdziwym hitem, przynajmniej wśród fanów z GKF. Trochę później poznałem film, który – obok fascynacji kultową kapelą heavymetalową – był zapewne inspiracją dla autora tych tekstów; oczywiście chodzi o *Predatora*. Tak czy siak, wielka szkoda, że nie dały one początku czemuś większemu, choć – biorąc pod uwagę zmianę ustroju oraz kwestie związane z prawami autorskimi – mogłoby to być dla ich twórcy zbyt kosztownym przedsięwzięciem.

Jednak największą stratą dla polskiej fantasy były cykle, których nie napisałem. Cóż... Fascynacja tą odmianą fantastyki nie poszła u mnie w parze z talentem literackim. Ale może jeszcze nie wszystko stracone...



ALICJA MOCHOCKA

## NIE KRACZ, ANDRZEJU!

— Mamo, mamo, kiedy oni sobie pójdą?

— Nie wiem, kochanie moje.

— Ale ja jestem głodny!

— Ale –! A właściwie dlaczego nie możemy teraz zjeść?

Matka przestąpiła z nogi na nogę, niepewnie – hardo zwracając się do starszyny.

— Dzieci głodne, upał taki, że jadło się popsuje, a jeśli nie zgnije, to zabiorą je ci ze Śląska!

Starszyna zapowietrzyła się zawodowo. Samica się odzywała!

— Cieszcie się, że nie rzucają w nas kamieniami. — Cichy głos Starego Andrzeja przejął władzę nad dyskusją, tą, która jeszcze się nie zaczęła. Jego siwa głowa widziała wiele, jego wiek napełnił go doświadczeniem. Krnąbrna matka pospiesznie przeprosiła, wycofując się w tłum. Teraz Stary Andrzej przejmuje głos.

— Wtedy, po bitwie pod Byczyną, Ślązacy przegonili nas do lasu, pamiętacie? A rok wcześniej pod Łańcutem zginął Sebastian. Chcecie powtórki z Łańcuta?

Ciężkie słowa padły ze strony seniora, rodzina zamilkła pogrążona w przemyśleniach. Krzyk ledwo opierzonego szczyla przerwał stateczną ciszę, zmacił duszne w letnim upale powietrze.

— Nie kracz, Andrzeju!

Młodzik wystąpił odważnie przed szereg.

— Co oni mogą nam zrobić? Opluć?

Już nie stał samotnie – dwóch jemu podobnych zaśmiało się, ustawiając tuż za jego plecami. Trzech, czterech, kolejni!

— Nic innego nie robią, tylko trupy obdzierają, przy co większych zdobyczach rechoczą, a w bitwie mało który brał udział!

Stary Andrzej patrzył na rozwrzeszczaną grupkę młodzików, tworzącą hałaśliwą linię różnicy poglądów. Kalkulował w milczeniu. Więcej głupoty czy niewiedzy? Nie, to zdecydowanie nie na jego nerwy.

— Co oni nam zrobią? — Młody powtórzył, głośniejsze, zadowolony z aplauzu. Andrzej zdecydował. Głupoty, stanowczo głupoty. Skrzywił się – niewiedza nie jest taka inwazyjna. Skrzywił się w drugą stronę, dla równowagi – och, gdyby dalej było tak jak za jego czasów...

Stary Andrzej już nabierał powietrza, by przywołać do porządku gniewnych, gdy przed niego wysunął się Maciej II – znany z ciętego języka i drugi w kolejności starszeństwa.

Buntownicy zafalowali, wypychając przed siebie śmiałego prowodyra. Nikt nie zauważył, kiedy Andrzej wycofał się, stękając. Jeśli wchodzisz między wrony musisz krakać jak i one – krzyk krzykiem należy zakrzyć. Westchnął cicho. Za głośno, och, za głośno!

Maciej II powiódł po zgromadzonych gniewnym spojrzeniem, wydając donośny rozkaz.





Agata Plank

— Zamknij dziób!

Tym razem cisza napłynęła drobnymi falkami, powoli przymykając wszystkim usta.

— Czy ktoś z was, młodziki nieopierzone, widział śmierć Sebastiana?

Teraz spadła gwałtownie, wbijając najmniejsze oznaki rozmów prosto w twardą ziemię. Wszyscy odruchowo schylili głowy.

— Sebastian Mądry, założyciel naszego rodu, zginął od zatrutej strzały! Trafiono go! Nie zdążył nawet porządnie rozwinąć skrzydeł! Wtedy zginęło mnóstwo naszych pobratymców! Ocalałem tylko ja i Andrzej, reszta pojmana przez czarownice, a –...!

Maciej II zamilkł. Te spojrzenia, te drżące postawy i niepewne gesty...

— Nie wierzycie mi?

Miny ogółu dobitnie świadczyły o tym, że bardzo się starają.

Maciej II podniósł głos jeszcze o kilka tonów, przechadzając się między swoimi słuchaczami. Autorytet rozlewał się wokół.

— Czarny Kamień. Obejrzyjcie Czarny Kamień, na którym uwiecznieni są wszyscy, którzy zginęli!

Cisza nabierała oznak pobożnego podziwu. Powoli, nieśmiało, sukcesywnie – mistykiem owiewał całą gromadę. Mocny głos Macieja górował nad zbiorowiskiem.

— Leży on pod Starym Dębem, ulubionym drzewem Mądrego. Często tam siadywał, widziałem... Tam, na kamieniu...

Dziesiątki oczu skierowane były na żywego świadka tamtych zdarzeń. Na Macieja II, na – nie! Na Macieja Wielkiego! Cisza była stemplem jego tryumfu.

— Kto teraz zaprzeczy?

Wizawa wybuchła, trzęsąc wszystkimi i każdym z osobna. Nie było milczącej osoby, nie było cichego miejsca – lecz nikt już nie prowokował do buntu. Wiwaty rozgzały serca zebranych. Maciej II z satysfakcją szukał tego, który wzniecił poruszenie wśród młodzieży. Nigdzie nie było go widać. Rewolucja stłumiona w zarodku, starszyzna zachowała najwyższe szczeble. Tylko Stary Andrzej wzdychał cicho, samotny na uboczu.

I wtedy poleciał pierwszy kamień.

\*\*\*

— Ano, rozkrakały się psiajuchy. Jeszcze nom tu wronów trza!

Franko schylił się, odkładając za duże na niego husarskie buty i zaczął oglądać trupa brodatego rajtara.

— Tfu! Urok jaki sprowadzą!

I cisnął kolejnym kamieniem w stado kruków hałasujących na dębach.





IMAGINUJĘ TU SOBIE, IŻ DO  
KOMIKSU KOSTUMOWEGO TEŻ BYM  
NADER SNADNIE PASOWAŁ\*...

\* patrz: „WAMPIERS WARS - PLANETA GROZY”



12/04

JANUSZ PISZCZEK

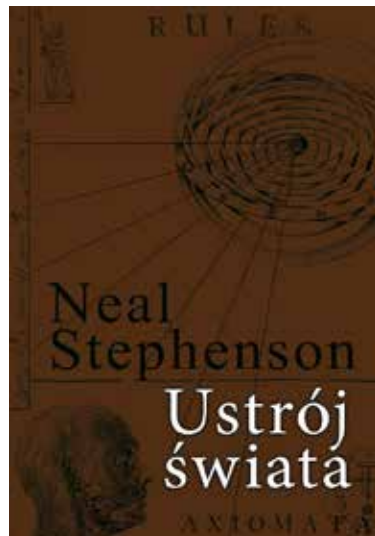
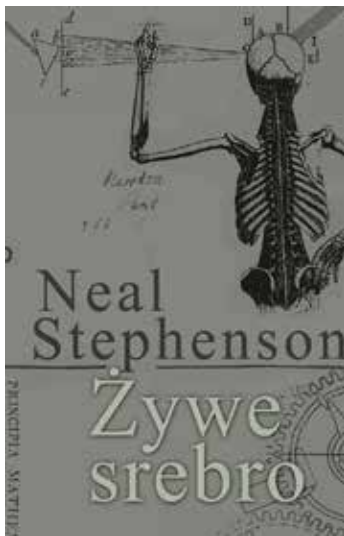
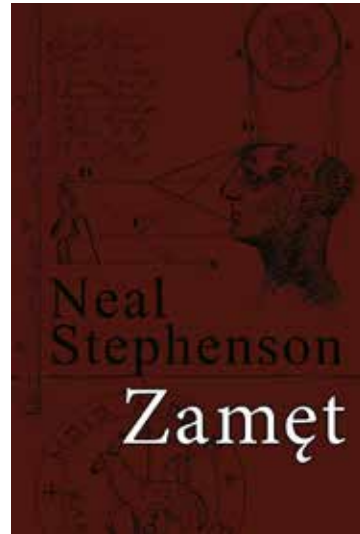
## NAMIAR NR 1

„Cykl Barokowy” Neala Stephensona to książki niezwykle ☺.

W zasadzie jest to epopeja historyczna, na której kartach przewijają się takie postaci jak Newton, Sobieski, Franklin i Ludwik XIV. Oprócz nich mamy plejadę fikcyjnych bohaterów, a całość podlana jest sosem alchemii, spisków i niesamowitych wydarzeń. Niewiarygodnie różnorodna, zaskakująca i cudownie pomysłowa powieść, która ożywia dla nas tamtą niezwykłą epokę i pozwala śledzić wiekopomne wydarzenia w towarzystwie takich sław jak Samuel Pepys, Isaac Newton, Wilhelm Orański, Benjamin Franklin i król Ludwik XIV (za: [www.encyklopediafantastyki.pl](http://www.encyklopediafantastyki.pl)).

Cykl ukazał się w Polsce po raz pierwszy nakładem wydawnictwa Mag w latach 2006–2008. Aktualnie ukazuje się wznowienie

w pięknej szacie graficznej i twardej oprawie. Polecam.





Juz się, panie Michale, wydało, że wy się  
z Ketlingiem miłujecie...

Ha, trudno - zmogłam się!

rys. ap  
wg ah

*Nasz nieodżałowany Szef, inicjator powołania do życia „Czerwonego Karła” oraz pierwszy naczelny tego fanzinu nie był jedynie świetnym organizatorem wszelkiego rodzaju fandomowych przedsięwzięć czy znanym i cenionym kartografem fantastycznych krain. Od czasu do czasu dawał też upust swoim talentom literackim i niebanalnemu poczuciu humoru, okraszając (pod różnymi pseudonimami) liczne gkf-owskie publikacje swoimi tekstami. W „Czerwonym Karle” będziemy się starali je zbierać i przypominać. Być może część z Was już je czytała, ale przychodzą nowe pokolenia fanów, które nie miały okazji zetknąć się z tymi tekstami. Na początek najbardziej naszym zdaniem błyskotliwy przejaw talentów Krzysztofa – smokologiczne rozprawy prof. dr. hab. Kościeja Papiginisa.*

PROF. DR. HAB. KOŚCIEJ PAPIGINIS

## APETYT NA DZIEWICE

Fakt, że smoki najchętniej konsumują dziewice, był znany już w starożytności. Okolice, gdzie zabrakło tego pokarmu, niejednokrotnie doświadczyły straszliwych skutków smoczego gniewu. Legendy i kroniki jednoznacznie stwierdzają, że smoki pozbawione ulubionej potrawy bardzo niechętnie jadły co innego, stawały się coraz bardziej rozdrażnione, aż w końcu wpadały w szał.

Szczególnie dokuczliwy był wyjątkowy apetyt smoków na dziewice. Przeciętny smok zjadał 30–36 dziewic rocznie, co przy średniej populacji smoków wynoszącej około 1800 sztuk na terenie kraju powodowało częste kryzysy polityczne i ekonomiczne (doc. dr. H. Jabłoński z SGGW twierdzi, że smoki przyjmowały do konsumpcji wyłączenie dziewice wysokiej urody – co dodatkowo zaostrzało problem).

Ów apetyt smoków na dziewice frapował ludzi światłych, którzy starali się znaleźć racjonalne wyjaśnienie. Zachował się opis kilkuletnich eksperymentów przeprowadzonych w Medii przez Atradesa z Chios, nadwornego astrologa Aleksandra Macedońskiego. Atrades dostarczał kilkunastu smokom sprawdzone komisyjnie i opiewane dziewice, zapisując skrupulatnie

dane dotyczące wieku, urody, koloru włosów i oczu itp. W wyniku doświadczeń stwierdził on, że jedne smoki lubiły brunetki, inne blondynki, ale wszystkie preferowały te ładniejsze. Wiek raczej nie odgrywał roli. Atrades zauważył jeden ważny szczegół, którego jednak nie potrafił wyjaśnić: niektóre smoki odmawiały konsumpcji niektórych dziewczynę z Ektebany podkładano ośmiu smokom, ale żaden się na nią nie połakomil. Dopiero dziewiąty, na wpół ślepy i głuchy ze starości zjadł ją, zresztą bardzo niechętnie.

Ciekawa jest również druga strona medalu, tj. stosunek smoków do ludzi jako dostarczycieli pokarmu. Józef Flawiusz w swej *Wojnie żydowskiej* wspomina o żyjącym w Patrii smoku imieniem Kamaz, który celowo rozpuszczał pogłoski o swych rzekomo niezmiernych bogactwach i dużej ilości urodziwych niewolnic. Zwabieni tym młodzieńcy stawali do walki i byli bezlitośnie przez smoka zabijani, który w ten sposób likwidował potencjalnych defloratorów, zapewniając sobie zachowanie pokarmu w stanie nienaruszonym.

Na przestrzeni dziejów wysuwano wiele hipotez dotyczących upodobań konsumpcyjnych smoków. Od lat trzydziestych XX wieku



tylko dwie są poważnie traktowane przez drakonologów. Pierwsza hipoteza stwierdza, że przyczyną jest specyficzna flora i fauna występująca w okolicach błony dziewiczej, druga (wysunięta jeszcze w 1530 roku przez Erazma z Rotterdamu) określa jako przyczynę tzw. aurę psychiczną wytwarzaną przez mózgi dziewic.

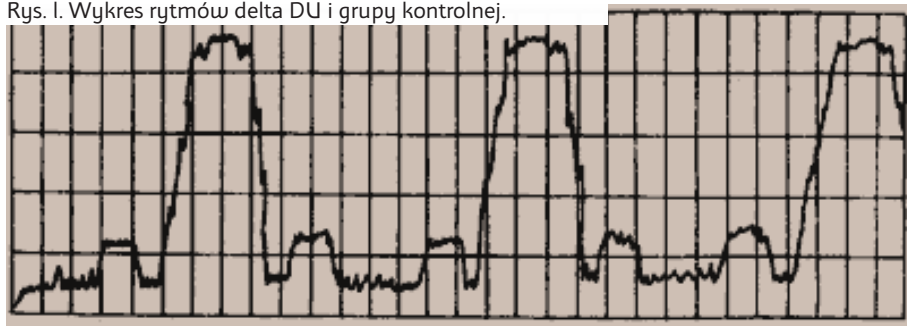
W latach 1979–1989 wraz ze swoim zespołem przeprowadziłem badania encefalograficzne dziewic z wykorzystaniem najnowszej techniki medycznej i komputerowej. Zmuszony byłem prowadzić badania na terenie całego kraju, gdyż populacja dziewic w województwie gdańskim nie była wystarczająco reprezentatywna. W sumie przebadano 28563 dziewice i 15411 kobiet traktowanych jako grupa kontrolna. Pomiary wykazały, że w przypadku 88% dziewic rytmy delta niczym się nie różnią od rytmów

grupy kontrolnej (rys. 1). Pozostałe 12% miało rytmy wykazujące szereg różnic (rys. 2). Dogłębne badania psychoanalityczne wykazały, że ta grupa dziewic jest całkowicie nieuświadomiona (wierzy w bociany, w dzieci znajdujące w kapuście, itp.). W celach eksperymentalnych przeprowadzono uświadomienie 26 DN (dziewic nieuświadomionych). Ich biorytmy natychmiast stały się identyczne z biorytmami DU (dziewic uświadomionych) i grupy kontrolnej.

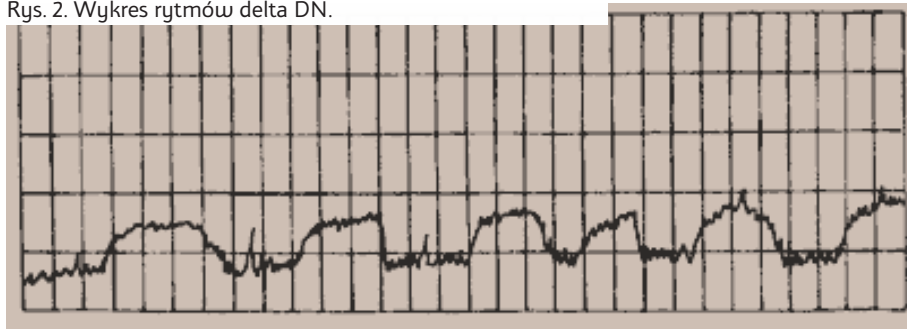
I tak oto odwieczna tajemnica została rozwiązana. Smokom, posiadającym duże zdolności telepatyczne, te szczególne rytmy były niezbędne do pobudzenia apetytu.

Natomiast sprawa urody jest w moim przekonaniu wręcz trywialna. Każdy z nas mając do wyboru dwie potrawy o jednakowym składzie na pewno wybrałby potrawę ładniej przybraną.

Rys. 1. Wykres rytmów delta DU i grupy kontrolnej.



Rys. 2. Wykres rytmów delta DN.



## SMOKI: FANTAZJA CZY RZECZYWISTOŚĆ?

Pytanie jest retoryczne. Oczywiście, że rzeczywistość! Przynajmniej historycznie rzecz biorąc. Tak dotąd wszyscy mogliśmy sądzić. Jednakże, jak przekonacie się, Drodzy Czytelnicy, gdy doczytacie ten tekst do końca, sprawa smoków może przestać być ciekawostką historyczną i stać się tematem dnia codziennego.

Profesor Kościej Papiginis, jako twórca i długoletni kierownik Katedry Drakonistyki na Uniwersytecie Bałtyckim, położył ogromne zasługi w rozwoju tej dziedziny nauki. Jego badania dotyczące smoków zielonych pospolitych (*draco viridis vulgaris*) i smoków złotych (*draco aureus*) przyniosły mu światową sławę. Z jego inspiracji powstała oddzielna gałąź drakonistyki – rubensologia, zajmująca się najgroźniejszymi ze smoków, smokami czerwonymi (*draco rubens*). On wreszcie udowodnił prawdziwość hipotezy innego znanego drakonologa Stanisława Lema o przyczynach szybkiego wyginięcia smoków wielogłowych.

Światowa Organizacja Drakonologów przedstawiła kandydaturę profesora Kościeja Papiginisa do Nagrody Nobla w 1992 roku w dziedzinie nauk biologicznych.

Niestety... [...] tragiczna śmierć profesora...

PROF. DR HAB. KOŚCIEJ PAPIGINIS

### SMOK A SPRAWA POLSKA

Zarówno legendy wywodzące się z mroków naszych pradziejów, jak i poważne opracowania historyczne donoszą o licznym występowaniu smoków na terenach polskich. Jeden z najwiarygodniejszych historyków W. Kadłubek szeroko opisuje metody walki ze smokami stosowane we wczesnym średniowieczu. Szczególnie dokładnie opisana jest rodzima metoda „na baranka z nadzieniem”, z powodzeniem wykorzystana przez niejakiemu Dratewkę (patrz również artykuł: W. Jaruzelskiego, *Taktyka walki ze smokami w okresie przedpiastowskim*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 7/1986).

Tak więc nasi przodkowie spotykali się na co dzień ze smokami i doświadczyli na sobie ich okrucieństwa i sprytu. Tych cech smoków dowodzą liczne ludowe przysłowia i porzekadła, np. *Smok żywemu nie przepuści*, *Gdzie diabeł nie może, tam smoka*

*pośle* (patrz artykuł: N. Nowak, *Potencjał intelektualny draco vulgaris jako pochodna mutacji wywołanej glaciałami Riss i Wurm*, „Zeszyty naukowe Podhalańskiej Akademii Medycznej” 2/1980).

Szczególnie dokuczliwy był wyjątkowy apetyt smoków na dziewice. Przeciętny smok zjadał 30–36 dziewic rocznie, co przy średniej populacji smoków wynoszącej około 1800 sztuk na terenie kraju powodowało częste kryzysy polityczne i ekonomiczne (doc. dr. H. Jabłoński z SGGW twierdzi, że smoki przyjmowały do konsumpcji wyłącznie dziewice wysokiej urody – co dodatkowo zastrzało problem).

Duży deficyt dziewic na naszych ziemiach powodował, że rozjuszone smoki wielokrotnie pustoszyły sioła i grody (patrz J. Kochanowski, *O spustoszeniu Podola*). Jedyną radą było regularne dostarczanie





Fantázi: Sebastiana Czuby



im dziewic w liczbie zaspokajającej smocze zapotrzebowanie. Z drugiej strony – żeńska połowa rodu ludzkiego starała się uniknąć strasznego losu przez jak najszybsze pozbycie się cnoty. Mgr A. Kuriata z Uniwersytetu Warszawskiego twierdzi, że tradycja ta zachowała się do dzisiaj. W pierwszej połowie XI wieku kryzys narósł do niepokojących rozmiarów. Aby temu zapobiec, królowie fundowali budowę licznych klasztorów w celu gromadzenia pełnowartościowej rezerwy. W okresie tym również szeroko rozwinęły się ośrodki rzemieślnicze produkujące pasy cnoty, służące do zabezpieczenia wytypowanych „smokodajek” (taka nazwa była w powszechnym użyciu).

W następnych wiekach kryzys stopniowo malał, gdyż degeneracja intelektualna smoków oraz rozwój broni palnej powodowały szybkie zmniejszanie się ich pogłowia.

*Powyższe artykuły zostały opublikowane na łamach „Zeszytów Naukowych Uniwersytetu Bałtyckiego” Rok 1 Nr 1/95.*

Poniższy artykuł został napisany na podstawie luźnych notatek profesora Papiginisa, odnalezionych w dziwnych okolicznościach. Nie ma tu konkretnego problemu naukowego, lecz raczej pewne przemyślenia, które, jak się okazało, były bardzo bliskie PRAWDY.

PROF. DR HAB. KOŚCIEJ PAPIGINIS

## PRAWDA

Założmy, że rzeczywiście istnieją światy równoległe. To znaczy, że istnieje nieskończona liczba Ziemi, różniących się między sobą niekiedy nieznacznie, a niekiedy zasadniczo. Już dawno o nich pisali autorzy SF, również niektórzy uczeni poważnie rozważali możliwość ich egzystencji.

Założmy, że na jednej z równoległych Ziemi, znajdującej się „blisko” naszej, nie nastąpił kataklyzm, który 60 mln lat temu spowodował

Nasi przodkowie nie tylko walczyli ze smokami, ale również wykorzystywali je do walki. W bitwie pod Cedynią książę Mieszko I zastosował oswojone smoki do niszczenia siły żywej przeciwnika. Historyk niemiecki Thietmar w swej kronice pisze: [...] *i tedy ten plugawy książę sprzymierzył się z diabłami, które w postaci latającej maskary paliły bogobojnych i pokojowo nastawionych rycerzy germańskich* [...]. Gal Anonim potwierdza ten przekaz: *Na rozkaz księcia Mieszka wykonano trzy tuziny smokolotów* [...].

Smoki bojowe uczestniczyły w wielu bitwach, że wspomnę tylko o Grunwaldzie i Smoleńsku. Ostatnią wzmiankę o wykorzystaniu smoka znajdujemy w dziele znanego historyka H. Sienkiewicza, który opisuje zastosowanie *draco aureus* przez A. Kmicica podczas zagonu na tereny Prus Książęcych.

u nas szybkie wymieranie dinozaurów. Ssaki nie miały więc przestrzeni do rozwoju i nie powstał homo sapiens. Powstał natomiast *dinosaurius sapiens*, który w ostatniej fazie swojej ewolucji przyjął postać skrzydlatego ogniodysznego smoka. Założmy również, że „draco” posiadał rozwinięte zdolności telepatyczne.

Informacje o smokach spotyka się w legendach powstałych u zarania ludzkości.



Przypuszczam, że najwcześniejsze dotyczą, reliktowych dinozaurów, które mogły się zachować w niektórych zakątkach Ziemi. Jednakże legendy o smokach pochodzące sprzed około 2000 lat p.n.e. zaczynają się różnić od poprzednich w kilku zasadniczych szczegółach: smoki zachowują się rozumnie i używają groźnych broni. Sadzę, że były to pierwsze wyprawy badawcze smoków na naszą Ziemię. W późniejszym okresie charakter wypraw się zmienił – smoki zaczęły tępić ludzi, niejednokrotnie podszywając się pod siły przyrody (np. Sodomą i Gomerą). Prawdopodobnie przygotowywały w ten sposób teren pod kolonizację. Wydaje mi się, że główna fala kolonizacyjna przybyła około roku 600 p.n.e. Świadczą o tym inskrypcje późnobarbarskie, odkryte podczas wykopalisk w Sippar.

Przewaga intelektualna i techniczna smoków spowodowała, że ludzkość stanęła w obliczu zagłady. Tak jednak się nie stało. Przypuszczam, że nastąpiło zerwanie łączności smoków z ich macierzystym światem. Trudno mi cokolwiek powiedzieć o przyczynie – tym zajmują się specjaliści. Być może owa smocza Ziemia „oddaliła się” od Ziemi ludzi. Pozostawieni sami sobie, koloniści ulegli

szybkiej degeneracji umysłowej. W późnym średniowieczu liczba smoków na Ziemi nie przekraczała 20000 osobników, a ich poziom intelektualny można porównać z inteligencją psów. Można je było tresować do celów bojowych, ale nic można się było z nimi porozumieć. Zresztą koniec nadchodził szybko. Ostatni smok na Ziemi zdechtł ze starości 17 marca 1701 roku w zwierzyńcu cara Piotra I.

Tak prawdopodobnie potoczyła się historia smoków na naszej Ziemi. Mam jednak podstawy sadzić, że istnieje dalszy ciąg. W ostatnich latach środki masowego przekazu wielokrotnie donosiły (oczywiście jako śmieszna ciekawostkę) o obecności smoków w różnych rejonach Ziemi. Z reguły smoki pojawiają się nagle „z niczego” i po krótkim czasie „rozptywiają się w powietrzu”. Sadzę, że już od kilkudziesięciu lat smocza Ziemia ponownie ma kontakt z Ziemią ludzi. Dotąd smoki obserwowały nas za pomocą sond tzw. UFO. Teraz przyszedł czas na eksperymenty z fizycznym przemieszczaniem się smoków. Być może jest to wstęp do inwazji. Być może smoki stale nas śledzą. Tyle jest przecież ostatnio tajemniczych zaginięć i pożarów. Może...

POST SCRIPTUM. Na tym kończą się notatki znalezione w sejfie umieszczonym w gabinecie profesora. Jedynie ten sejf ocalał po gwałtownym pożarze, który wybuchł po północy pierwszego kwietnia i spalił doszczętnie willę profesora. W zgłiszczach znaleziono zwęglone zwłoki ludzkie, w których rozpoznano Kościeja Papiginisa.

Odszedł od nas znakomity drakonolog, autor wielu znanych publikacji naukowych, twórcą Katedry Drakonistyki na Uniwersytecie Bałtyckim. Odszedł, gdyż odgadł PRAWDĘ. Przypuszczamy, że gdy w jego gabinecie zmaterializował się smok, profesor przed śmiercią zdążył włożyć notatki do sejfu i zatrasnąć drzwiczki. [...] Właśnie gdy piszę te słowa, zapaliło się XIII piętro bliźniaczego budynku. Cóż... tym razem o 300 metrów w linii prostej. Dzisiaj jeszcze kupię pięć gaśnic i będę sypiał z kałasznikowem pod poduszką.

Szanowny Czytelniku... Od tej chwili, gdy przeczytałeś te słowa, poznałeś PRAWDĘ. Dlatego natychmiast kup gaśnicę i nie rozstawaj się z kocem azbestowym.



Jarosław Jaśnikowski, *Husarz*

# *Wszyscy na NORDCON!!! 4-7 grudnia 2014*

*Chcesz wiedzieć więcej –  
zajrzyj na stronę konwentu*

